

**Ruth Jean Dale**

**Žólta Róža**

## Rozdział 1

W poczcie elektronicznej Mata Hari znalazła pilną wiadomość od Skryby. Tytuł brzmiał: „Mam tego dość!\", a treść była następująca:

„Wszystko rozumiem, droga Emily, i byłem długo cierpliwy. Wiem jednak, że jeśli teraz, od razu, nie podrepczesz do «Żółtej Róży», to już się nigdy na to nie zdobędziesz. A obietnica to obietnica, prawda? Nie jesteś oczywiście do niczego zobowiązana. Masz z tym jakiś problem? Kto wie, może trafisz w dziesiątkę. Widzisz mój uśmiech?"

Gdy w piękny teksaski poranek Emily Kirkwood przestąpiła próg bardzo znanego w San Antonio biura matrymonialnego „Żółta Róża", natychmiast uderzył ją silny zapach róż, a zaraz potem widok najwspanialszego kowboja na świecie.

Stanąła jak wryta, mając nadzieję, że zatrzymały ją tylko różane aromaty, ponieważ we własnym mniemaniu nie należała do kobiet zachwycających się kowbojami i ich męską urodą. Znacznie ważniejsze były dla niej takie zalety jak: honor, szlachetność i uczciwość.

Tych na pierwszy rzut oka nie mogła zgłębić, widziała bowiem tylko czarne włosy, niebieskie oczy, smukłe długie nogi w dżinsach i szerokie ramiona w kraciastej koszuli.

Owszem, zauważyła jeszcze jedno: badawcze i wyrażające duże zainteresowanie spojrzenie nieprawdopodobnie niebieskich oczu. Po chwili mężczyzna odwrócił od niej wzrok i powiedział do recepcjonistki:

– Jestem Cody James. O jedenastej mam się widzieć z panią Wandą Roland. Wiem, że jeszcze nie ma jedenastej, poczekam...

– Może pan od razu wejść. Pani Roland na pana czeka. – Recepcjonistka, dama w średnim wieku, z plakietką obwieszczającą, że na imię ma Teresa, wskazała drzwi i najwidoczniej zauroczona klientem patrzyła za nim, aż zniknął, po czym westchnęła i spojrzała na Emily. – Mieć takiego, co? Sama bym się połakomiła...

– Wszyscy wasi klienci są tacy przystojni? – spytała Emily, grzecznie się roześmiawszy na słowa recepcjonistki. Jednocześnie nadała własnemu pytaniu ton krytyczny. Doświadczenie ją nauczyło, że mężczyznom zbyt przystojnym nie należy ufać. A od urodziwych i do tego bogatych należy szybko uciekać. W przyszłości zamierzała ufać wyłącznie uczciwym biedakom o przeciętnej aparycji.

Chwilowo jednak takiego nie poszukiwała i nie po to przyszła do biura

matrymonialnego. Na pewno nie w celu znalezienia miłości swego życia. Po prostu oddawała przysługę Terry'emu, ot zwykle spłacenie honorowego długu. Terry był jej kuzynem i potrzebował informacji „od podszewki” do artykułu dla zainteresowanego tym tematem wydawnictwa. Innymi słowy przyszła do „Żółtej Róży” w charakterze szpiega.

Już poprzednio, kiedy jeszcze mieszkała w Dallas, przeprowadziła podobny „wywiad” w kilku lokalnych biurach matrymonialnych. W Dallas sprawa była prosta – wypełniła kwestionariusz, poddała się dość przykreemu zabiegowi nakręcenia z nią krótkiego wideoklipu, po czym komputer „skojarzył” ją na randkę z jakimś okropnym typem. Wszystko dokładnie opisała i przekazała Terry'emu, uważając dług za spłacony. Jednakże firma, w której pracowała – Towarzystwo Budowlane A&B wysłała ją czasowo do San Antonio, aby zorganizowała i poprowadziła tam lokalne biuro przedsiębiorstwa. No i drogi kuzyn Terry wymusił na niej, by raz jeszcze dla niego pospieszyła. Zgodziła się w chwili słabości, ale nie dlatego, iż gdzieś tam w zakamarkach głowy tliła się myśl, że w wieku dwudziestu pięciu lat warto już rozejrzeć się za partnerem życia. Skądże! Nie, nie! Patrząc na własnych rodziców, jak sobie przez cały czas skakali do oczu, nie była wcale pewna, czy w ogóle warto ryzykować małżeństwo. Poza tym własne doświadczenie, kiedy to narzeczony porzucił ją właściwie przed ołtarzem, zmieniło generalnie jej opinię o mężczyznach.

Najwidoczniej jej zamyślenie trwało zbyt długo, gdyż recepcjonistka znacząco postukała piórem o blat biurka, po czym spytała:

– Czym mogę pani służyć, pani... ?

– Emily Kirkwood. Ja też miałam umówione spotkanie z panią Roland o godzinie jedenastej. Skoro jednak jest zajęta, to może kiedy indziej... – Bardzo by jej to odpowiadało. Siła wyższa, Terry nie mógłby mieć do niej pretensji, bo próbowała, ale się nie udało... Ruszyła w kierunku drzwi.

– Ojej! Wanda znowu to zrobiła! Niech pani poczeka! – Podniosła rękę, aby powstrzymać ucieczkę potencjalnej klientki. Drugą ręką ujęła słuchawkę telefonu i wystukała trzy cyfry. – Wanda! Znowu narozrabiałaś. Na godzinę jedenastą jest tu pani... Emily Kirkwood. Ja wpuściłam do ciebie pana Cody'ego Jamesa, bo powiedział, że też jest umówiony na jedenastą... Tak, tak, dobrze! – Odłożyła słuchawkę. – Pani Roland już do pani wychodzi – obwieściła z triumfem.

Po chwili otworzyły się drzwi, za którymi zniknął poprzednio urodziwy kowboj, i wybiegła z nich kobieta.

Emily ze zdumienia otworzyła usta. Wanda Roland do złudzenia przypominała

dobłą wróżką z filmów Waha Disneya: śnieżnobiałe włosy mogły oznaczać podeszły wiek, ale wesoła gładziutka twarz bez jednej zmarszczki należała do kobiety dużo młodszej. A uroczy uśmiech czynił ją niemal piękną.

Z wyciągniętymi rękami pośpieszyła do Emily.

– Bardzo, ale to bardzo przepraszam za nieporozumienie!

– wykrzyknęła, chwytając Emily za ramiona.

– Nic nie szkodzi, właśnie mówiłam, że mogę przyjść kiedy indziej...

– Ach nie! Jesteśmy do pani dyspozycji. W „Żółtej Róży” zawsze jesteśmy do dyspozycji naszych wspaniałych klientów.. . – W oczach, jeszcze bardziej niebieskich niż oczy kowboja, zaświeciły iskierki.

Emily opierała się ciągnącej ją ku drzwiom kobiecie.

– Ale u pani już ktoś jest... Nie mogę przeszkadzać... Nie sędzę, aby to był dobry pomysł...

„Wróżka” zaśmiała się, a w uszach Emily zabrzmiało to jak klekot tępych dzwoneczków.

– Ja miewam wyłącznie dobre pomysły, moja droga... Na imię ci Emily, prawda? Nasze biuro jest duże, mamy masę miejsca, nawet dla kilku klientów i klientek w tym samym czasie. Poza tym będzie pani tylko wypełniała karty ankietowe.

– Skrzywiła się, jakby uważała tę czynność za wyjątkowo niemłą.

– Kiedy ja naprawdę... – Emily nadal protestowała.

Pani Roland ujęła ją mocno pod ramię i niemal siłą pociągnęła do drzwi.

– Chodź, dziecko! Ja wiem najlepiej, czego ci potrzeba.

– Do recepcjonistki rzuciła: – Patrz, Tereso, jakie to nieśmiałe stworzenie!

Emily nie miała wyboru. Może to i dobrze. Szybko upora się z zadaniem. Wszystko to zresztą dokładnie opisze. Terry powinien być zadowolony, a ona wreszcie do końca spłaci dług wdzięczności.

Wanda Roland wprowadziła Emily do swego gabinetu. Kowboj, trzymający w ręku żółtą różę na długiej łądydze, zdziwiony podniósł głowę i niemal jednocześnie brwi. Różę odłożył na biurko obok spoczywającego na nim kowbojskiego kapelusza.

Starsza pani nie lubiła ciszy i nie traciła czasu.

– Panie James, czy możemy mówić do pana po prostu Cody? Możemy, to doskonale. To jest panna Emily Kirkwood. Możemy mówić po prostu Emily?

Zarówno kowboj, jak i Emily, wydawali się zbyt oszołomieni, by cokolwiek powiedzieć. Skinęli tylko głowami i dość głupawo się uśmiechali.

Pani Roland usadziła Emily w fotelu o pół metra od kowboja i naprzeciwko niego, po czym sama usiadła za biurkiem, nieco do niego bokiem, by móc patrzeć w monitor wielkiego komputera, zajmującego co najmniej połowę półokrągłego blatu.

– Skoro jesteśmy już wszyscy razem i wygodnie sobie siedzimy, możemy zacząć lepiej się poznawać – obwieściła.

– Prawda, jakie to chytre urządzenie? – Wskazała głową komputer.

Cody James zerknął niepewnie na dopiero co wprowadzoną klientkę.

– Pani tak zawsze przyjmuje nowych klientów... ? Parami?

– spytał.

Twarz Wandy Roland przybrała wyraz ni to uśmiechu, ni to niezadowolenia.

– Nie, nie, nie zawsze. Ale wy oboje jesteście chyba wyjątkowymi klientami... Tak, na pewno wyjątkową...

– Ja jednak wolałabym... – zaczęła Emily. Czuła, że znalazła się w bardzo niezręcznej sytuacji. Spojrzała na kowboja, który także wydawał się skrepowany. – Nie chciałabym panu Jamesowi zajmować czasu moimi...

– Na imię mi Cody – przerwał jej z uśmiechem. – Pani Roland już to ustaliła i zafiksowała. I nie przeszkadza mi wcale pani obecność, pani Kirkwood. Jestem po prostu trochę zaskoczony...

– Dobrze, Cody. A ja jestem Emily, nie mniej zaskoczona od ciebie...

– Widzicie, jak wam świetnie idzie! – wykrzyknęła triumfalnie Wanda Roland. – I przestańcie być zaskoczeni, moje dzieci. Bądźcie pewni, że jedno drugiemu nie przeszkadza. A mnie ułatwicie pracę. Tylko raz będę musiała wygłaszać hymn pochwalny na cześć naszej agencji i wyjaśniać metody u nas stosowane. Taki mały wstęp, którego musi wysłuchać każdy klient.

Emily spojrzała na Cody'ego, Cody na nią. Na jego ustach zauważyła uśmiech, śmiały się też jego oczy. Zrewanżowała się tym samym. Nieme porozumienie między nimi mówiło, że zostaną i zobaczą, co też Wanda Roland kombinuje.

„Wróżka” się rozpromieniła.

– No, to zaczynamy, drogie dzieciaki. Przede wszystkim pragnę was zapewnić, że biuro matrymonialne „Żółta Róża” ma tylko jeden cel: dbanie o wasze dobro. Gdybyśmy mogli, to pożenilibyśmy, i to szczęśliwie, wszystkich młodych w Teksasie i tylko odbierali z poczty worki kart od naszych byłych klientów z informacjami, że rodzą im się dzieci.

– Ojej! – wykrzyknęła Emily, nim zdołała się powstrzymać. – To mnie zaskakuje... Dopiero co przyjechałam do San Antonio i nie mam chwilowo

najmniejszego zamiaru wychodzić za mąż. Przyszłam tu, bo sobie pomyślałam, że przez wasze biuro zawrę interesujące znajomości.

– Tak się zawsze zaczyna – odparła Wanda. – Najpierw trzeba zawrzeć znajomość, a dopiero potem myśleć o małżeństwie, no nie?

– Ja natomiast – wtrącił Cody – już myślę o małżeństwie.

– Widząc uśmiech na jego twarzy, Emily pomyślała, że chyba sobie kpi. – Czas leci, człowiek się starzeje, chcę mieć żonę i dom pełny dzieciaków – dokończył.

Emily nie wierzyła własnym uszom. Po co, u diabła, biuro matrymonialne tak przystojnemu mężczyźnie? Coś tu jest nie tak.

– To rozumiem, Cody! Jestem pewna, że znajdę ci odpowiednią pannę – zapewniła go Wanda Roland. – Najpierw jednak kilka rzeczy, które muszę wam wyjaśnić. Moja szefowa nalega, abym wszystkich o tym poinformowała.

Emily nadstawiła uszu. To będzie coś, co musi dobrze zapamiętać, by przekazać Terry'emu.

– „Żółta Róża” to najstarsza agencja zawierania znajomości. Najstarsza w San Antonio, a może i w całym Teksasie – poinformowała Wanda tym samym co poprzednio ciepłym głosem, ale ze śpiewnym akcentem i wypowiadając trzy razy więcej słów na minutę. Najwidoczniej narzucony tekst bardzo jej nie odpowiadał.

– Odnosimy wprost fenomenalny sukces na rynku, bijąc na głowę pod względem zawieranych małżeństw wszystkie inne agencje. Tak się dzieje między innymi dzięki najnowszej generacji komputerowi i specjalnemu oprogramowaniu. – Dłonią wskazała komputer na biurku. – To jest George. Można mu całkowicie zaufać.

Cody, rozparty wygodnie w fotelu, wyciągnął przed siebie nogi i powiedział:

– Słyszałem o waszym George'u i dlatego wybrałem tę agencję. A w ogóle wierzę w komputery. Mamy je na ranczu... Chociaż żadnemu nie nadaliśmy imienia...

– A ty, drogie dziecko, dlaczego wybrałaś „Żółtą Różę”?

– spytała Wanda, zwracając się do Emily.

Ponieważ kuzyn mnie do tego po prostu zmusił, pomyślała, głośno natomiast odpowiedziała:

– Z powodu nazwy. Bardzo lubię róże, a żółte uwielbiam.

– Ach, jaka zachwycająca odpowiedź. Wprost czarująca!

– stwierdziła Wanda. – Ale idźmy dalej: „Żółta Róża” odnosi takie sukcesy w kojarzeniu par, ponieważ opieramy się wyłącznie na komputerze. Komputer ocenia każdą osobowość, buduje profil każdego klienta... No i robimy wideoklipy...

– Czy mam rozumieć, że klient siada przed kamerą i opowiada o sobie, usiłując jak najlepiej się sprzedać? A drugi klient czy klientka to ogląda i mówi, że ten nie, tamta nie i prosi o następne nagranie. To mi się nie podoba. Przecież to nie aukcja była!

– To jest kontakt osobisty! W każdym razie jego namiastka – odparła Wanda. – Dyskretny wybór wstępny...

– Mówiła pani tyle o komputerach, że myślałam, że to komputer wybiera partnera czy partnerkę – wtrąciła Emily. – Naukowo i obiektywnie.

– Co też mówisz, dziecko! – oburzyła się Wanda. – Chciałabyś żyć w świecie, w którym komputer ci mówi, kogo masz kochać?

– No nie, ale...

– Nie chcę żyć również w świecie, w którym ogląda się wideoklip i kupuje sobie partnerkę jak krowę na aukcji – przerwał jej Cody z uśmiechem rozbawienia.

– Ja tylko wyrażałam moje zdziwienie, bo myślałam... – Emily urwała, dochodząc do wniosku, że tematu nie warto było ciągnąć.

Wanda Roland spojrzała bacznie na oboje klientów i obwieściła:

– Pogadaliśmy sobie, każdy wie, o co chodzi, więc czas na wypełnienie kwestionariuszy. – Zaczęła grzebać w przepaścistej szufladzie biurka i wyciągnęła z niej gruby plik kartek.

– Wszystkie informacje będą traktowane przez nas jako ściśle poufne. Po prostu musimy zestawiać poszczególne ankiety, aby określić stopień zgodności charakteru osób, którym proponujemy poznanie się... – Zaczęła rozkładać poszczególne kwestionariusze.

Cody i Emily zerknęli na siebie, a potem szybko odwrócili wzrok. Emily raz jeszcze zadała sobie pytanie, po co tak przystojny mężczyzna przychodzi do agencji matrymonialnej, by znaleźć sobie partnerkę, kiedy wystarczy, by przeszedł się po ulicy, a opadnie go cała chmara kobiet.

– Proszę bardzo... – Wanda Roland wręczyła Cody'emu i Emily po kilka kartek i po jednym długopisie z wizerunkiem żółtej róży. – Przejdźcie do salonu obok. Usiądźcie sobie, moi mili, przy konferencyjnym stole i piszcie. – Zaprowadziła ich do drzwi. Wskazała na długi stół na tle wysokich okien udekorowanych wiktoriańskimi draperiami i koronkowymi zasłonami mającymi na celu stworzenie intymnego nastroju.

Emily poczuła się niesłychanie głupio. Będzie siedziała sama obok jakiegoś kowboja o filmowej urodzie i wypisywała kłamstwa? Bo przecież prawdy nie

napisze. Nie przyszła tu w poszukiwaniu przygody tylko jako szpieg – „podglądacz” metod pracy biura matrymonialnego...

Cody czytał pierwszy kwestionariusz. Początek wydawał się łatwy. „Cody James, lat trzydzieści, płeć męska, kowboj...” W pewnym sensie był kowbojem, więc tak bardzo nie skłamię. Teraz zarobki. Na to był przygotowany. Całej prawdy nie powie. Wpisał więc: „Dość, by się utrzymać i żeby zostało na żonę i dzieci, ale bez ekstrawagancji”. Stwierdził, że na papierze to nawet dobrze wygląda.

Następne pytanie brzmiało: Budowa? Uśmiechnął się do siebie. Owszem, przed dwoma miesiącami budował na ranchu stodołę. Ale im pewno nie o to chodzi. Uznał, że pytanie jest głupie i nic nie wpisał. Podniósł głowę. Emily Kirkwood z wyrazem koncentracji na twarzy wczytywała się w swój kwestionariusz. Cody stwierdził, że ta dziewczyna bardzo mu się podoba.

Jaka szkoda... Podoba mu się, owszem, ale postanowił, że już nigdy w życiu nie wpakuje się w żadną kabałę z podobnie piękną kobietą. Emily była rzeczywiście piękna. I czego ona szuka w agencji matrymonialnej? Tak, wcale miła dziewczyna, tylko niestety zbyt urodziwa... Wrócił do wypełniania formularza: Stan cywilny? „Rozwiedziony”. Dzieci? „Nie mam, ale chciałbym mieć” – wpisał. Doszedł do rubryki dotyczącej mieszkania. Mieszkał wraz z innymi Jamesami na wielkim ranchu pod szumną nazwą „Latające J”, ale chwilowo nie chciał tego ujawniać. Jeśli miał znaleźć kobietę bardziej zainteresowaną nim samym, niż liczbą posiadanych przez rodzinę krów, byków i ziemi, to lepiej o tym nie wspominać. Napisał po prostu „Domek”.

Kolej na ulubione i najmniej lubiane zwierzęta. Łatwe! „Ulubione – psy, nie lubiane – koty”. Ulubione inne zwierzęta. Też łatwe. „Oczywiście konie”. Ulubiony sport. „Rodeo!” Ulubiona rozrywka. „Oglądanie rodeo”. Ulubiona kuchnia. „Teksasko-meksykańska!”

No, dotychczas bez większych problemów. Odetchnął z ulgą i z większą niż poprzednio wyrozumiałością spojrzął na siedzącą naprzeciwko piękną blondynkę. Przez chwilę zapomniał o obietnicy, jaką sobie dał po rozwodzie.

Ze koniec z pięknymi kobietami. Nie można mieć do nich zaufania.

Napotkawszy spojrzenie Cody'ego, Emily wstrzymała na chwilę oddech. Była nieco zaniepokojona swoją reakcją na tego mężczyznę. To chyba nie tylko jego uroda? Od początku wydał się jej bardzo miłym człowiekiem, kiedy tak siedzieli przed biurkiem Wandy Roland i rozmawiali z nią. Teraz na penetrujące spojrzenie



odpowiedziała zdawkowym, jak się jej wydawało, uśmiechem i wróciła do wypełniania kwestionariusza. W Dallas wypełniła ankietę uczciwie i otrzymała figę. Tym razem nie zamierzała obnażać duszy.

Dzieci? Oczywiście, że nie! W rzeczywistości lubiła dzieci i jeśli by wyszła za mąż, to na pewno chciałaby je mieć. Ale to dopiero odległa przyszłość. Nie ma sensu wspominać o tym teraz. Ulubione zwierzęta domowe. „Koty, koty!” Miała dwa w mieszkaniu, które dzieliła z przyjaciółką od wielu lat, Laurie Billingsley. Nie lubiane zwierzęta. Zastanawiała się przez długą chwilę, ponieważ w zasadzie lubiła wszystkie. W rezultacie wpisała: „Nie lubię żadnych dużych”.

Ulubione zajęcie. Gdyby miała powiedzieć prawdę, to napisałaby, że czytanie książek. Teraz przekornie skłamała: „Zabawy i przyjęcia”. Czy ma jakieś hobby? Owszem, w Dallas jako wolontariuszka zajmowała się dziećmi. Konkretnie – uczyła je czytać. Ponieważ tu nie miała zamiaru mówić prawdy, ładnie wykaligrafowała: „Chodzenie po sklepach i kupowanie”.

Jej ulubionym daniem był makaron z serem, ale wołała wpisać „wegetarianka”, bo to wydawało się bardziej wyrafinowane. Przy pytaniu: Jak pani wyobraża sobie idealną randkę? nie zastanawiała się długo i napisała, że najbardziej jej odpowiada kolacja w czterogwiazdkowej restauracji. To powinno każdego kandydata zniechęcić.

Rubryka: Idealne wakacje? zasłużyła aż na sześć słów: „Rejs luksusowym statkiem na Wyspy Karaibskie”.

Pani idealny partner? – to pytanie kazało się jej zastanowić. Bo przecież nie mogła napisać, że może być biedny, byle był uczciwy i kochający. Nikt by w to nie uwierzył. Wpisała więc zupełnie inne cechy „Wyrafinowany, bogaty, o wielkiej urodzie i znany w środowisku”. Powstrzymała się przed spojrzeniem na siedzącego naprzeciwko mężczyznę, który, kto wie, był może biedny, uczciwy i umięjący kochać, ale... tak diablo przystojny, że aż wywoływał przyspieszone bicie serca.

Nie patrz na niego, powiedziała sobie. Nie jesteś tu jako kandydatka na żonę ani nawet jako osoba poszukująca luźnego związku. Przyszłaś, by spłacić dług honorowy wobec Terry'ego, przyszłaś jako szpicel...

Skoncentrowała się na ostatnim pytaniu: Czego się spodziewasz po związku z mężczyzną? Po chwili namysłu wpisała ze złością: „Chcę się z nim dobrze zabawić”.

Niepotrzebny jest jej żaden typ z komputera.

Cody zastanawiał się nad pytaniem o idealną partnerkę. Nie wiedział dobrze,

jaka mogłaby być idealna, ale był pewien, czego mu nie potrzeba.

Z pewnością nie potrzeba mu kobiety takiej, jak Jessika.

Przechodziły go ciarki po plecach, ilekroć myślał o swej eks-żonie. Wydawała się idealna, póki nie wzięła go na łąkę przy ołtarzu. Wtedy okazało się, że nie chce dzieci, nudzi ją życie na ranczu, a w końcu, że nie chce i jego, chociaż bardzo pragnie jego pieniędzy.

Odczepiła się dopiero wtedy, kiedy sporo ich otrzymała. Dał je bez żadnych protestów, byle się jej pozbyć. Niemniej od czasu do czasu wspominał to, co w niej tak kochał: perlisty śmiech, wielkie poczucie humoru, no i jej namiętność... Buchał z niej erotyzm i była piękna.

Nagle zdał sobie sprawę, że siedząca naprzeciwko niego Emily Kirkwood jest bardzo podobna do Jessiki. Może nawet piękniejsza. I widać było, że jest silną kobietą.

W dwa lata po rozwodzie wiedział już, że budował swoje nadzieje szczęśliwego pożycia z Jessiką na jej słowach, a nie postępowaniu. Był ślepy. Szaleńczo zakochani są często ślepi... Jessika po prostu go oszukała. Kłamała, że kocha dzieci, kłamała nawet, że kocha jego. A on w swojej głupocie wyobrażał ją sobie na ranczu, wśród gromadki ich dzieci...

Z rozmyślań wyrwało go otwarcie drzwi. Stała w nich Wanda Roland ze swą wiecznie rozpromienioną twarzą.

– Moje kochane dzieci już skończyły? – spytała.

– Jeszcze nie, ale już niedługo – odparła Emily.

– Prawie, prawie – odparł Cody.

– Nie ma pośpiechu – zapewniła Wanda i wycofała się.

Emily spojrzała na Cody'ego.

Ona patrzy zupełnie inaczej niż Jessika, pomyślał Cody. Patrzy tak, jakby mnie naprawdę dostrzegała.

– Trudne, prawda? – Emily uśmiechnęła się.

– Co jest trudne?

– Odpowiadanie na intymne pytania. Chyba że człowiek nic nie robi cały dzień, tylko zastanawia się nad własnym życiem. Ja o tym właściwie nigdy nie myślę.

– A ja bardzo rzadko.

Emily pokiwała głową i powróciła do arkusza z pytaniami. To samo zrobił Cody.

Idealna partnerka? Zaczął pisać: „Stapająca po ziemi kobieta bez much w nosie”.

Czego się spodziewasz po związku?

„Małżeństwa z miłości!”

I wreszcie ostatnie pytanie: Opisz siebie własnymi słowami. Skrzywił się i wpisał: „Wysoki”.

Emily skończyła wypełnianie kwestionariusza na długo przed Codym. Wpatrzyła się w leżący przed nią arkusz. Nie była zadowolona z własnych odpowiedzi, ale nie miała zamiaru niczego zmieniać.

Po paru minutach po raz drugi pojawiła się Wanda Roland.

– Skończyłyście, dziękuję? No i widzicie, to nie było takie trudne.

Cody tylko jęknął, Emily uśmiechnęła się enigmatycznie.

– A teraz zrobimy kilka zdjęć – obwieściła Wanda. – To nie jest bolesne. Trzeba się tylko uśmiechnąć. Wideo już mam.

– Co?! – jednocześnie wykrzyknęli Cody i Emily.

– Tu są kamery. U sufitu. – Wskazała palcem. – Mówiłam wam o tym. Byliście sobą, każde pochylone nad pracą, żadnego pozowania. Ale nic się nie bójcie. Zobaczy je tylko ten lub ta, których wybierze. I to za waszą zgodą.

– Kiedy się czegoś dowiemy? – spytał Cody.

– Jutro rano.

– Jutro rano? – zdumiała się Emily. – Do jutra trudno będzie to wszystko wpisać do komputera!

– Ja jestem bardzo sprawna, jeśli idzie o komputery – odparła z wielką godnością Wanda Roland, nieco urażona pytaniem. – Kiedy zainstalowano u nas George'a, to bardzo, bardzo długo się uczyłam. Ale teraz jesteśmy przyjaciółmi. Najlepiej dobrana para na świecie. No, ale róbmy te zdjęcia i zmykajcie. Jestem pewna, że macie dużo pracy, no i dzień jest piękny...

– Ja nie mam dziś wiele do roboty. Wizyta w „Żółtej Róży” była moim najważniejszym zadaniem – powiedział Cody.

A ja mam jeszcze kilka pilnych spraw do załatwienia, pomyślała Emily. I na szczęście żadna z nich nie zmusza mnie do kłamania w głupich kwestionariuszach i udawania, że szukam bratniej duszy.

W poniedziałek drugiego listopada, o godzinie siódmej czterdzieści dwie wieczorem, Mata Hari wysłała pocztą elektroniczną wiadomość do Skryby. Zatyłowała ją „Przestań się rzucać!”

„Obiecałam ci, że pójde do tej «Żółtej Róży» i poszłam. Odpowiedziałam na

multum wścibskich pytań. Po cichu zrobili mi film wideo, a oficjalnie zdjęcie od dużego palca u nogi po sterczący włos na głowie. Rozmawiałam z miłą damą. Nazywa się Wanda Roland i gra rolę disnejowskiej dobrej wróżki. Był tam też klient. Miły facet. Aż żal mi się zrobiło, że z mojej strony to tylko udawanie. (Żartowałam!) Napiszę, kiedy mnie z kimś skojarzą. I wtedy prześlę wszystkie inne szczegóły. «Żółta Róża» mieści się w starej wiktoriańskiej willi, w ślicznej dzielnicy, która bardzo mi się podoba".

## Rozdział 2

Mata Hari znalazła w poczcie elektronicznej wiadomość od Skryby, nadaną trzeciego listopada już o szóstej trzydzieści rano. Tytuł brzmiał: „Dobra dziewczyna”.

„Wiedziałem, Emily, że mogę na ciebie liczyć. Przepraszam, że cię tak naciskam, wręczam ci w podziękowaniu różę. Może być żółta. Wanda Roland bardzo mnie interesuje. Chciałbym coś więcej o niej wiedzieć. I o ich komputerach. W reklamówce informują, że ich dobór jest całkowicie skomputeryzowany. Na czym to polega? I napisz coś więcej o tym miłym facecie, którego poznałaś... ”

Było tego dużo więcej. Emily zrobiła wydruk, by przeczytać list przy śniadaniu. Siedząca po drugiej stronie stołu Laurie przyglądała się jej ciekawie.

Po zapoznaniu się z treścią epistoły Emily zgmiotła papier w kulę i rzuciła ją do zabawy kotu imieniem Archie, który wyraźnie się nudził.

– Mów, mów! Umieram z ciekawości. Co on pisze? – spytała Laurie.

– Kto?

– Terry, oczywiście. Bo to było od niego, prawda? Czego ten kombinator znowu chce?

– Nie nazywaj mego kuzyna kombinatorem – zaprotestowała Emily. Uczyniła to raczej z obowiązku, gdyż sama nazywała Terry'ego jeszcze gorzej.

– Już ja znam dobrze tego ananasa – mruknęła Laurie. – Gotów sprzedać duszę dla sensacji. Najlepiej cudzą duszę.

– Daj mu szansę. Otrzymał nową pracę i chce popisać się przed szefami. A poza tym daj mi spokój, zmuszasz mnie przecież do bronienia kogoś, o kim wiem, że jest stuknięty. – Roześmiała się.

– On nie jest stuknięty. On cię po prostu szantażuje, żebyś zrobiła to, co on chce. Usiłował także skłonić mnie, ale mu się nie udało. – Laurie upiła łyk kawy. Była już gotowa do wyjścia do pracy, chociaż poprzedniego dnia wróciła z niej bardzo późno.

– Wcale mnie nie szantażuje. Wiesz, że mam wobec niego dług wdzięczności po tym, jak ojciec nie zdołał spełnić swego zobowiązania wobec niego.

– To był nie twój dług, a twego ojca. Ojciec już nie żyje, więc i długu nie ma. Tego się nie dziedziczy. Chodzi o to, że ty należysz do kategorii tak zwanych

dobrych istot. Według mnie ulegasz Terry'emu zupełnie niepotrzebnie.

– Może i masz rację...

– Powiesz mi wreszcie, czego chce Terry?

– Napisałam mu, że w agencji matrymonialnej rozmawiałam z kobietą o nazwisku Wanda Roland. On chce wiedzieć wszystko o niej i tych jej komputerach.

– W zasadzie niewinna prośba.

– Prośba niewinna, ale ta Wanda Roland... Nie wiem, ale jest coś dziwnego...

– Mianowicie co? Ubiór, zachowanie?

– Wiesz, ona z miłością opowiada o tych swoich komputerach, chwali się, że agencja jest tak doskonale skomputeryzowana, że ona stanowi taką świetną parę z komputerem, a potem... podejrzałam, że jak dotyka klawiatury, to tak, jakby jej kazano głaskać jadowitego węża.

– Może ci się tylko tak wydaje? Co jeszcze ciekawego zobaczyłaś w agencji?

Coś ją ostrzegało, by nie wspominać o spotkaniu z Codym. Ale Emily rzadko słuchała ostrzeżeń, nawet własnych.

– Właśnie... Ja... poznałam tam przystojnego mężczyznę. I to nawet więcej niż przystojnego...

– Przystojniejszego niż John?

– O tak!

– No, nareszcie dochodzimy do interesującej części twojej wizyty w agencji! – Laurie aż zatarła ręce. – Mów... !

– Nie mam nic do powiedzenia. Wiesz dobrze, że nie szukam żadnego mężczyzny!

Laurie stanęła przed Emily w rozkroku i wsparłszy dłonie na biodrach, powiedziała:

– Emily Kirkwood, przestaję cię rozumieć! Czyżbyś aż tak zgłupiała, żeby sądzić, iż skoro twój były narzeczony okazał się bydlakiem, to tacy sami są wszyscy mężczyźni? Moim zdaniem powinnaś czym prędzej wystawić się w witrynie, żeby cię spostrzegł jakiś przyzwoity tym razem facet.

– Otóż i problem! Skąd będę wiedziała, że on jest przyzwoity? Mogę się spostrzec zbyt późno, że nie jest. I skąd przyzwoity facet będzie wiedział, że ja też jestem z tego samego gatunku?

– Cała przyjemność we wzajemnym poznawaniu się, no nie?

– Nie, dziękuję. Nie widzę w tym żadnej przyjemności. Poszłam do agencji wyłącznie w celu oddania przysługi kuzynowi piszącemu artykuł o ciemnych

stronach tego rodzaju instytucji. Nikogo nie szukam i nie będę szukała... I nikogo nie potrzebuję...

– Jesteś tego pewna?

– Absolutnie pewna. – Emily dumnie podniosła głowę. Ani jej w głowie jakiś tam Cody James czy ktoś podobny. Ma odpowiedzialną pracę, której chce się poświęcić. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, na szczęście, Wanda Roland dziś nie zadzwoni. Skąd tak od ręki znalazłaby w komputerze amatora na kobietę, która w kwestionariuszu powypisywała takie rzeczy i postawiła takie warunki?

Gdy Cody powrócił na ranczo, po wielu godzinach dogłądania spędu na północnym pastwisku, przy stole w kuchni zastał Lianę, swą dziesięcioletnią bratanicę. Posiłki na ranczu jadano przeważnie w kuchni, chyba że odbywała się jakaś rodzinna uroczystość.

– Co tu robisz, szkrabie? – zapytał. – Dlaczego nie jesteś w szkole?

– Liana powiedziała rano, że źle się czuje – poinformowała Elena, matka Liany. – A ja byłam na tyle głupia, żeby jej uwierzyć.

– Bo byłam chora – odparła płacząco Liana. – Teraz już nie jestem. Czy mogę po południu pojechać z wujkiem? Mogę, mam?

– Mowy nie ma! – odparła matka, przygotowując potężne kanapki na lunch: steki z topionym serem na żytnim chlebie. – Chory to chory. Powinien leżeć w łóżku. – Elena rozlała pomidorową zupę do kubków.

– Ale ja już wstałam, bo wyzdrowiałam – stwierdziła logicznie Liana i zabrała się do pałaszowania pierwszej kanapki.

– Wstanie na lunch się nie liczy. Jak tylko skończysz... – Elena wskazała palcem schody wiodące na górę do sypialni.

– Wujku Cody! – prosiła o wstawiennictwo Liana.

– Nic z tego, szkrabie. Mama ma rację.

– Brawo, Cody! – powiedziała Elena, śmiejąc się. – To mi się w tobie podoba. Nie ulegasz łatwo wdziękom kobiet. Nawet takim uroczym, jak Liana. – Poglaskała córkę, by złagodzić jej rozczarowanie odmową. – Powiedz mi teraz, Cody, jak ci poszło w „Żółtej Róży”?

– W porządku – odparł krótko. Chociaż cała rodzina wiedziała o jego polowaniu na żonę, nie miał zamiaru się spowiadać. Ponadto w „Żółtej Róży” wydarzyło się coś, czego nie przewidział. Nie przewidział, że przypadkowo poznana kobieta wyrze na nim takie wrażenie.

Na szczęście Elena nie mogła więcej nań naciskać, gdyż wszedł jej mąż, a

zarazem brat Cody'ego, Ben. Pocałował żonę, odwiesił dzinsową kurtkę i w drodze do łazienki obwieścił:

– Jestem taki głodny, że zjadłbym konia z kopytami. Umyję się i wracam pędem...

Elena i Ben byli małżeństwem od dwunastu lat. Doskonałym małżeństwem. Cody bardzo im zazdrościł. I właśnie patrząc na ich rodzinne szczęście, zebrał się na odwagę i poszedł do agencji matrymonialnej. Marzył o zaznaniu podobnego szczęścia, chciał mieć córkę podobną do Liany, chciał mieć całą gromadkę dzieci.

Gdy Ben, który był współwłaścicielem i zarządcą rancza „Latające J”, wrócił i zasiadł za stołem, natychmiast zadał bratu to samo pytanie, które przed chwilą zadała Elena:

– Jak ci tam poszło u kojarzycielki spod znaku róży?

– Musiałem wypełnić kilka papierków... O sobie i czego chcę. Różne takie głupie osobiste pytania...

– Ciocia Jessika była bardzo ładna – zaświergotała Liana. – Szukasz, wujku, takiej samej?

– Broń mnie panie Boże! – wyrwało się Cody'emu. – Chociaż, wiecie co? Do tej agencji akurat przyszła taka podobna. Cholernie ładna. Cholernie!

– Jak ty się odzywasz przy dziecku! – skarciła go Elena.

– Ja znam jeszcze brzydsze słowa, mam – zapewniła ją Liana.

– No i co? Bardzo ładna... Umówiłeś się z nią? – spytała Elena.

– Ależ skąd! Mam nadzieję, że więcej nie ujrzę jej na oczy. Musiałem ją poznać, bo im się w tej agencji pomieszały godziny. Byliśmy omyłkowo umówieni do tej samej osoby w tym samym czasie. To po pierwsze...

– Kto wie, może znowu się spotkacie... – zasugerowała Elena.

– Nie. Nie chcę jej spotkać. Po pierwsze, jest zbyt ładna.

– Wujek Cody nie ufa ładnym kobietom – uzupełniła Liana, a pozostali spojrzeli na nią zaskoczeni. Widząc to, Liana wyjaśniła: – Bo ja słyszałam, jak wujek mówił to do taty.

– Masz za długie uszy – zgromiła ją matka. – No dobrze, to było po pierwsze. A co jest po drugie?

– Nie interesuje jej małżeństwo.

– A skąd to wiesz? Przyszła do agencji matrymonialnej i nie chce wyjść za mąż?

– Powiedziała mi to – odparł Cody.

– Może chce sobie tylko pobaraszkować – zazartował Ben.



– Ben, dziecko! – skarciła męża Elena.

– Co to znaczy pobaraszkować? – spytało dziecko.

– Iść razem na lody – wyjaśnił Cody. A może ona jednak szuka męża, pomyślał. Jessika też zawsze mówiła jedno, a chciała drugiego. Gdyby tak było, to może warto by... Nie, nie! Jest zbyt piękna. I pewno próżna.

Zadzwoił telefon wiszący na kuchennej ścianie. Elena poszła odebrać. Chwilę rozmawiała, potem odwiesiła słuchawkę i z wyrazem triumfu na twarzy wróciła do stołu.

– To była wiadomość dla ciebie, Cody. Dzwoniła jakaś kobieta z agencji „Żółta Róża”. Wanda Roland? Nawet nie chciała z tobą rozmawiać, tylko prosiła, żeby ci powtórzyć, że masz być dziś po południu w agencji. Znaleźli ci partnerkę. Masz tam być o czwartej. Cieszysz się?

– Z czego mam się cieszyć? Jeszcze nikogo nie widziałem. To może być jakaś pokraka...

– Ale na lody możesz z nią iść – stwierdziła rezolutnie Liana. – Jak to się nazywa? Po-ba-rasz-kować, tak?

Emily miała bardzo ciężki dzień. Jako tymczasowa kierowniczka nowo zakładanego oddziału firmy A&B musiała załatwiać tysiące spraw.

Tego dnia przyjechał z Dallas jej przełożony, Don Phillips. Czterdziestokilkuletni mężczyzna, współwłaściciel przedsiębiorstwa, człowiek nie owijający niczego w bawełnę, jednocześnie bardzo dobry, o wielkim poczuciu humoru. Emily miała do niego setki pytań, które wyłoniły się w czasie minionych tygodni. Gdy Phillips skończył na nie odpowiadać, sam zadał pytanie:

– Jak ci się podoba San Antonio? Miałaś okazję się trochę rozejrzeć?

– Miasto ładne, owszem. Ale to tylko pierwsze wrażenie. Jeszcze całego nie objechałam.

– Dużo zrobiłaś przez ten krótki czas. Pewno uważasz mnie za poganiacza niewolników.

– Ależ skąd! Pracuję, bo lubię. I czasami biorę sobie wolne. Na przykład wczoraj pół dnia... – Nie miała zamiaru wyjaśniać, że celem była wizyta w biurze matrymonialnym.

– Zostaniesz tu przez kilka miesięcy, więc nie siedź za biurkiem nocami, nawiąż jakieś kontakty, odpręż się...

Na biurku Emily zadzwonił telefon.

– A&B – zgłosiła się.

– To ty, Emily?

– Pani Wanda! – Czyżby już kogoś do niej „dopasowali”? Po takich odpowiedziach? Niemniej poczuła pewne podniecenie.

– Bardzo mi miło, że rozpoznałaś mój głos, Emily. Otóż George świetnie się spisał. Już ma dla ciebie partnera. Dobra wiadomość?

– Wspaniała.

– Wobec tego zapraszam cię do agencji o czwartej.

– Dziś o czwartej po południu? Obawiam się, że to absolutnie wykluczone. Przyjechał mój szef...

– Nie wiem, o co chodzi, ale weź sobie wolne popołudnie – przerwał jej Don Phillips. – Zasłużyłaś sobie na to. Już ci mówiłem, że pracujesz zbyt ciężko...

– Ale... – zaoponowała słabo.

– Hej, hej, kto tu jest szefem? – Wstał, odstawił na biurko kubek po kawie i wziął z haka na ścianie kask ochronny. – Idę teraz na budowę, a ty zawieś na drzwiach tabliczkę „ZAMKNIĘTE DO JUTRA” i zmykaj.

– Don, nie chciałabym nikomu sprawiać kłopotu...

– Nie ma sprawy. Zmykaj!

Emily powróciła do rozmowy z Wandą, która najprawdopodobniej wszystko słyszała.

– A więc będę o czwartej...

– Wspaniale! Czekam! – Wanda Roland przerwała połączenie, więc Emily odłożyła słuchawkę.

Ciekawe, kogo jej znaleźli? No cóż, w każdym razie nie będzie to nikt sięgający choćby do pięt temu Cody'emu... Westchnęła. Na szczęście nie jestem osobiście zainteresowana, spłacam tylko dług wdzięczności wobec Terry'ego i niech już jak najszybciej to będzie załatwione.

Gdy o czwartej po południu Cody wszedł do biura „Żółtej Róży”, zobaczył Emily stojącą przed ladą recepcjonistki. Cody stwierdził, że jest śliczna i że jej złote włosy kontrastują wspaniale z czerwonym kostiumem, jaki tego dnia miała na sobie. Przepiękny obrazek! Tak, ona jest jak obrazek, pomyślał.

Na odgłos kroków obróciła głowę i gdy zobaczyła Cody'ego, zamarła.

– Co pan tu robi? – spytała ostro.

– Wczoraj był Cody, to i dziś niech tak zostanie. A co do mojej tu obecności, to zadzwoniła pani Wanda Roland i poleciła mi przyjść na czwartą po południu.

– Mnie też poleciła przyjść na czwartą – poinformowała recepcjonistkę Emily.

– Ojej, ojej, ona znowu coś pokręciła. Co ta Wanda wyrabia?

– powiedziała Teresa.

– Na to wygląda, że pokręciła... Przepraszam, że obcesowo spytałam, co tu robisz, ale byłam ogromnie zaskoczona.

– Ja też – odparł Cody, nie dodając jednak, że był bardzo przyjemnie zaskoczony. – Czy pani Roland często to się zdarza?

– spytał recepcjonistkę.

– Często nie, choć czasami. Wanda ma tak wspaniały instynkt przy kojarzeniu par, że nikt nie ma do niej pretensji o takie drobiazgi jak godzina spotkania. Ale jeśli państwo wysuwają obiekcje, to możemy państwu przydzielić innych mentorów... bo u nas mentorem nazywa się osobę mającą pieczę nad klientem...

– Nie, nie! – wykrzyknęli jednocześnie Cody i Emily. Spojrzeli na siebie zdumieni tą jednomyślnością.

– Nie chciałabym, aby pani Wanda Roland miała jakieś nieprzyjemności z mojego powodu – dodała Emily.

– Ani ja bym tego nie chciał – dorzucił Cody. – A poza tym chętnie odstąpię pani Kirkwood pierwszeństwo – powiadomił recepcjonistkę.

– Dziękuję. Jesteś niesłychanie uprzejmy – odparła Emily.

– Mój tata nauczył mnie, że kobiety powinny mieć pierwszeństwo...

– Czy mogę coś powiedzieć? – wtrąciła Teresa – Pani Roland dzwoniła przed paroma minutami z miasta. Bardzo przeprasza, ale coś ją zatrzymało i przyjedzie za jakieś... – spojrzała na zegarek. – ... trzydzieści pięć minut. Ma nadzieję, że państwo możecie poczekać...

– Ojej... – Emily bardzo to nie odpowiadało.

– Ja mogę czekać – zgodził się potulnie Cody. – Tu mamy czekać?

– Tu... albo... – Teresa się rozpromieniła, jakby olśniła ją genialna myśl. – Tuż za rogiem jest kawiarnia. Tam będzie przyjemniej. Idźcie tam państwo i wróćcie koło... piątej, dobrze?

Cody spojrzął na Emily, Emily spojrziała na Cody'ego i wzruszyła ramionami.

– Może być... Jeśli oczywiście chcesz... Cody... ?

– Dlaczego nie! Do zobaczenia o piątej, Tereso!

Otwierając przed Emily drzwi na ulicę, Cody doszedł do wniosku, że takie czekanie nawet mu odpowiada. Może okazać się bardzo miłe.

– Coś do kawy? Jakaś szarlotka albo... – pytała kelnerka. Emily potrząsnęła przecząco głową, ale Cody się zawahał.

– Co może jeszcze być? – spytał.

– Ciasto czereśniowe albo z nadzieniem cytrynowym... No i placek z dyni...

– Hmm, wobec tego ja biorę szarlotkę. Na gorąco. I na to kulka lodów waniliowych...

– Tak jest, kowboju. Już się robi! – Kelnerka wydawała się zachwycona Codym.

Emily wzięła do kawy słodzik. Mieszając go powoli, aby zyskać na czasie i uporządkować myśli, zastanawiała się, co dalej. W drodze z agencji do kawiarni nie zamienili ani słowa. Teraz wypadałoby rozpocząć jakąś cywilizowaną rozmowę. Ale kto? Ona czy on? I o czym?

– Tu jest znacznie lepiej niż w poczekalni „Żółtej Róży” – odezwał się Cody. Emily odetchnęła.

– Znacznie lepiej – zgodziła się. – Masz daleko do domu?

– Ponad sto kilometrów.

– Oo! To bardzo daleko.

– Nie przeszkadza mi.

Kelnerka podała gorącą szarlotkę z szybko topiącymi się lodami. Cody wziął do ręki widelec.

– A gdzie ty mieszkasz? – spytał.

– Niedaleko stąd. Dzielę z kimś mieszkanie w odrestaurowanej wiktoriańskiej willi.

– Ten ktoś to chyba nie mężczyzna, bo nie chodziłabyś po biurach matrymonialnych.

– Przyjaciółka. – Odwróciła wzrok od urzekających niebieskich oczu i zaczęła patrzeć na gości rządkiem obsiadających długi kontuar.

– Po co ty właściwie przyszłaś do „Żółtej Róży”? – padło niespodziewane pytanie.

Wydała mu się jakby speszona. Oblizła parę razy usta, wyraźnie szukając właściwej odpowiedzi.

– Mieszkam tu od niedawna, nie znam nikogo...

– Kobieta tak piękna nie potrzebuje agencji matrymonialnej, by zawrzeć znajomość.

– Dziękuję za komplement. Jeśli to miał być komplement...

– To miał być komplement.

– No dobrze, a ty? Co tu robisz?

– W kawiarni czy tam, w agencji? Otóż jestem tu, w kawiarni, bo zainteresowałaś mnie i chciałbym o tobie więcej wiedzieć. A do agencji

poszedłem, ponieważ chcę się ożenić i mieć gromadkę dzieci.

– To ma sens.

– Ale ty powiedziałaś, że nie chcesz wychodzić za męża?

– Nie mam takiego zamiaru.

– Dlaczego?

– Mam na to jeszcze dużo czasu.

– Należysz do tych kobiet, które przedkładają karierę zawodową nad dom?

– Nie, to nie tak. Mam pracę, która mnie interesuje, ale ta praca nie prowadzi do tego, bym zamieniła się w kobietę interesu...

– Aaa! Rozumiem. – Właściwie to nic nie rozumiał. Dokończył szarlotkę, otarł usta serwetką, odłożył widelczyk i założywszy ręce na piersiach, rozsiadł się wygodnie.

– Niby co rozumiesz? – spytała.

– Właściwie to mało, ale gdybym miał zgadywać, to powiedziałbym, że sparzyłaś się na jakimś facecie i jeszcze nie możesz przejść nad tym do porządku dziennego. Boisz się sparzyć ponownie.

– Co za bez... – Ugryzła się w język. – To wcale nie jest tak... – A tak przecież było. Sparzyła się nie raz, a dwa razy. Zranili ją dwaj mężczyźni. Pierwszy po prostu ją rzucił, a z drugim uciekła jej własna matka i porzuciła Emily, gdy ta miała dwanaście lat. Obaj byli bardzo przystojni i bardzo bogaci, a poza tym przekonani, że mogą kupić wszystko. W przypadku matki – Beverly Kirkwood – okazało się to prawdą, ale kiedy jej kochanek usiłował wykorzystać swoje miliony, by przy pomocy najlepszych adwokatów uzyskać dla matki prawną opiekę nad Emily, nie udało się. Emily się zaparła i wraz z ojcem wygrała batalię, pozostając przy nim. Niestety, procesy trwały kilka lat i zrujnowały ojca nie tylko finansowo, ale także psychicznie.

– Bardzo przepraszam, nie chciałem... Ot, po prostu wydało mi się to naturalną przyczyną twojego obecnego stanowiska. Jest mi przykro... – Z jego wyrazu twarzy było widać, że nie są to zdawkowe formułki.

– Przyjmuję przeprosiny – odparła. – Spodziewam się, że może nawet... wkrótce będę chciała mieć męża, a także dzieci, ale teraz chciałabym... po prostu się zabawić.

– Wielka szkoda, wielka szkoda. – Kwaśny uśmiech wykrzywił mu twarz. – Trochę podejrzewałem, że do takiego gatunku kobiet należysz. Bo widzisz, moja droga, ja miałem żonę tak piękną, że się na nią gapili ludzie na ulicy i wpadali pod samochody. Też się chciała bawić. No i powiedzieliśmy sobie pa pa, a ja

odżegnałem się raz na zawsze od takich ładnych kobiet jak ona czy jak ty...

– Ja... ? – Szczerze się zdziwiła, bo nigdy o swej urodzie nie myślała w kategorii przyczyny wypadków ulicznych.

– Nie bądź taka zdziwiona. Faktem jest, że charakterami różnimy się jak dzień od nocy.

– O tak! – Roześmiała się. – Ja mówię pomarańcz, a ty pewno pomarańcza.

– Trafiłaś w dziesiątkę. Lubię konie i byki, a ty pewno...

– Balet, koncerty, koty...

– Ja wolę psy i otwarte przestrzenie rancza...

– A ja miasto! Ale się nie martw. W morzu jest dużo ryb.

– Ba! Kiedy ja nie chcę zimnokrwistej ryby, a gorąckrwistą kobietę... Ciekaw jestem...

– Czego?

– Kogo nam nasza pani Wanda wygrzebała. Tobie zapewne jakiegoś elegancika, który będzie z tobą latał na te balety i koncerty, a potem w wykwińskiej restauracji opowie ci, co tego dnia zdarzyło się na giełdzie... A mnie dziewczynę, która uwielbia doć krowy, oczywiście w przenośni, bo nikt ręcznie teraz nie doi... No i pewno będzie nam dobrze, bo naukowo nas dobrano, przy pomocy tego ich tam George'a, a naukowemu postępowi nie można się przecież opierać...

– Święta racja. Nie można...

Oboje nieco posmutnieli i na kilka minut zamilkli.

– A swoją drogą, jak by to było przyjemnie, żeby ludzie potrafili, ot tak, bez George'ów się poznać, porozumieć, naprawdę pokochać i nie mieć potem nieprzyjemnych niespodzianek, odkrywając, że trafili na jakąś wiedźmę...

– Albo na playboya – uzupełniła Emily i westchnęła. Spojrzawszy na zegarek, wykrzyknęła: – Wracamy, bo się spóźnimy!

– Nie wolno się spóźniać na spotkanie z własnym przeznaczeniem – odparł, siląc się na dobry humor.

W drodze powrotnej także milczeli. Cody przebiegał w myślach ich kawiarnianą rozmowę. Emily mu się zdecydowanie podobała, ale jednocześnie podejrzewał, że to kobieta nie dla niego. I bardzo dobrze, że nie zdradził się, że jego rodzina należy do jednej z najbogatszych dynastii ranczerskich w Teksasie. Jeszcze by się do niego przykleiła jak pijawka. Po dniu dzisiejszym już się więcej nie zobaczą i niech dziewczyna nie żałuje, że coś straciła. To jego prezent, bo jest właściwie bardzo miła.

Do wiktoriańskiej willi, w której mieściły się biura „Żółtej Róży”, weszli razem i powitało ich skonsternowane spojrzenie bardzo zdenerwowanej Teresy, która wymachując bezradnie rękami, wykrzyknęła:

– Nic z tego, wyobraźcie sobie, że nic z tego... !

– Z czego? Co się stało?

– Wanda się nie pojawiła i nie pojawi. Poważna przeszkoda. Prosi, abyście przyszli w piątek o dziewiątej rano...

– Co takiego? – Emily była wyraźnie oburzona.

– Może wobec tego w ogóle zrezygnujemy z usług waszego biura... – mruknął groźnie Cody, podchodząc do biurka recepcjonistki. – Na darmo sto kilometrów tam i sto z powrotem... !

– Ja też tak uważam. Powinniśmy zrezygnować – dołączyła swą opinię Emily.

– Ja was bardzo proszę, nie róbcie tego. – Teresa była bliska płaczu. – Zdradzę wam, co się stało. Bardzo przykra rzecz. Wanda miała wypadek samochodowy w drodze do agencji...

– O mój Boże, biedna kobieta! – wykrzyknęła Emily. – Poważnie poturbowana? Mam nadzieję, że nie...

– Nie, nie, nic groźnego, ale jest w szoku. I martwi się nie wypadkiem, ale tym, że nie stawiała się na spotkanie z wami. I okropnie się boi, że się na nią obrazicie...

– Proszę się uspokoić – powiedział Cody. – Nie obrazimy się. No cóż, zdarza się. Wrócimy tu w piątek, prawda, Emily? – Patrzył na jej twarz wyrażającą niepewność.

– No dobrze. Piątek o dziewiątej rano – zgodziła się.

Cody zastanawiał się, czy nie zaprosić zaraz Emily na kolację, skoro okazało się, że nie mają tu co robić? A może... Nim zdołał podjąć jakąś decyzję, Emily powiedziała:

– Dziękuję za kawę i interesującą rozmowę, Cody. Może spotkamy się w piątek. – Skinęła głową jemu i Teresie i wyszła.

Powinien był działać szybciej. Zaklął pod nosem i wolnym krokiem wyszedł. Emily już nie było.

Skryba znalazł w poczcie elektronicznej kolejny list od Maty Hari, nadany trzeciego listopada o godzinie dziewiętnastej trzynastie i zatytułowany „Stracony dzień”.

„Przez ciebie, drogi kuzynie, straciłam dziś pół dnia. Nie zdołałam zobaczyć Wandy Roland i nie mam nic do zakomunikowania. Wanda wyznaczyła mi kolejne

spotkanie w piątek rano i może wtedy będę miała coś do opowiedzenia. Korzystając z okazji, zawiadamiam cię, że wcale dobrze się NIE bawię. Wszystko przez ciebie".



### Rozdział 3

Skryba odpowiedział pocztą elektroniczną listem wysłanym w czwartek piątego listopada, o godzinie dziewiętnastej jedenastej. List był zatytułowany „Zaintrygowany”.

„Stracone pół dnia to tylko czekanie na Wandę Roland, której nie udało ci się zobaczyć? Tak to widocznie musiało być. Widzę jednak, że się starasz. Dzięki. Tym razem nic nie wspomniałaś o miłym facecie, którego poznałaś podczas pierwszej wizyty w agencji. Najwidoczniej też się nie pojawił... ”

Niech Terry tak sobie myśli, mruknęła Emily pod nosem, raz jeszcze odczytując wyrwaną z drukarki kopię listu, który zawierał na końcu szczegółowe pytania dotyczące Wandy Roland. Siedziała w holu agencji „Żółta Róża” w pobliżu stanowiska recepcjonistki. Był piątkowy poranek. Zjawiła się kilka minut przed dziewiątą i wraz z wybiciem godziny rozwarły się z hałasem drzwi frontowe i wszedł Cody James. Emily, właściwie nie wiedząc dlaczego, szybko schowała komputerowy wydruk do torebki i przywitała Cody'ego zdawkowym uśmiechem.

Nim Cody zdążył podejść do Teresy, otworzyły się drzwi pokoju i jak piłka wyskoczyła zza nich rozpromieniona Wanda Roland.

– Aaa! Jesteście oboje, moje dzieci! – wykrzyknęła. – Cudownie! Wspaniale! Proszę do mnie!

Cody i Emily obrzucili się zdumionymi spojrzeniami. Czy nie byłoby dyskretniej każdemu z nich osobno przedstawić wybrankę i wybranka? Cody wzruszył ramionami i gestem ręki zaprosił Emily, by szła pierwsza.

Emily uświadomiła sobie nagle, że obecność Cody'ego tuż za jej plecami oddziałuje na nią w przedziwny sposób. Jakby wydzielał jakąś siłę magnetyczną... Co on wyrabia? A raczej, co wyrabia ona, wymyślając podobne bzdury? No bo on nawet nie jest w jej typie. Zbyt przystojny i zbyt różniący się w swoich upodobaniach, jak i marzeniach.

– Siadajcie, moje dzieci! – poleciła Wanda, na stałe już obdarowawszy ich mianem dzieci.

Zajęli te same fotele, co poprzednio. Wanda powędrowała za biurko.

– Czuje się pani dobrze? – spytała ją Emily. – Bo Teresa powiedziała nam o wypadku...

– Nic poważnego. – Wanda zbyła temat machnięciem dłoni. – Jestem trochę

obolała, ale w moim wieku... – Zamilkła i jakby wyczekująco patrzyła to na Emily, to na Cody'ego.

– Ma nam pani coś do powiedzenia? – spytała Emily i natychmiast ugryzła się w język. Dlaczego użyła słowa „nam”, a nie „mnie”?

– Mam, oczywiście, że mam – odparła Wanda, stale się uśmiechając.

Emily wydawało się, że starsza pani ma podrapane czoło. Może wypadek nie był taki błahy, jak twierdzi?

Wreszcie Cody zakłócił milczenie głośnym chrząknięciem i zapytał:

– Niech mi pani łaskawie wyjaśni, jak to się stało, że po raz wtóry pani Kirkwood i ja zostaliśmy omyłkowo umówieni na tę samą godzinę? A właściwie po raz trzeci, jeśli wliczyć wtorek, kiedy to pani się nie pojawiła. Raz... mogę zrozumieć, ale trzy razy z rzędu... !

Emily potakująco pokiwała głową, chociaż bez nadmiernego entuzjazmu. Właściwie to całkiem miło, choć bardzo dziwnie, było jej w towarzystwie Cody'ego. Najwidoczniej milej niż jemu w jej towarzystwie. Natychmiast skarciła się za te dywagacje, nie były bowiem ważne. Tak czy inaczej, wizyty w „Żółtej Róży” były dla niej czystą stratą czasu.

– A ja oceniałam pana znacznie wyżej, moje dziecko, i byłam pewna, że już oboje zrozumieliście – oświadczyła Wanda.

– Co mieliśmy zrozumieć? – zapytali oboje prawie jednocześnie i tymi samymi słowami.

– Przecież to jasne! Wy, moje dzieci, jesteście po prostu stworzeni dla siebie. Prawdę mówiąc, to chyba niebiosy skierowały was w tym samym czasie do naszego biura.

– Pani chyba żartuje! – wybuchnęła Emily i uniosła się z fotela. Oстрыm gestem ręki Wanda kazała jej usiąść.

– George nigdy nie żartuje i nigdy nie kłamie – powiedziała.

– A jak często się myli? Co dwa dni, co trzy? – spytał sarkastycznie Cody.

– George nigdy się nie myli – odparła z obrażoną miną Wanda Roland. – Myślałam, dzieciaki, że będziecie zachwycone, biorąc pod uwagę, jak na siebie zerkacie. Od samego początku było dla mnie jasne, że należycie do siebie i to na zawsze.

– Ale my przecież wszystkim się różnimy – zaprotestowała Emily.

– Magnes, magnes, moja droga – odparła Wanda. – Przeciwnie bieguny przyciągają się...

– Przecież myśmy tu przyszedli z różnych powodów... – zaczął Cody. – Panna

Emily nie jest zainteresowana małżeństwem, a ja wyłącznie małżeństwem.

– Kobieta ma odwieczne prawo zmieniać zdanie – oświadczyła sentencjonalnie Wanda.

– Kiedy ja nie chcę zmieniać zdania! – obwieściła Emily.

– Kobieta ma nawet prawo zmienić zdanie co do tego, że nie chce zmienić zdania – wyjaśniła Wanda. – Zupełnie nie rozumiem, o co właściwie wam obojgu chodzi. Przecież przyszliście tu w poszukiwaniu profesjonalnej rady, no nie?

– Tak, profesjonalnej, ale i rady komputera, bo słyszałam, że macie tu jakieś wspaniałe cudo – powiedziała Emily.

– No i otrzymaliście, moi kochani, najlepszą profesjonalną radę, jaką przy obecnej wiedzy i technice mogliśmy wam dać. Czego jeszcze chcecie?

– Czy mogłabym otrzymać komputerowy wydruk dotyczący tej sprawy? Chciałabym się dowiedzieć, co też takiego George wykrył, co czyni nas odpowiednimi dla siebie.

– Hmm... jeszcze mnie nikt nigdy o to nie prosił – odparła Wanda z wielką godnością.

– Czy wobec tego mogłabym być tą pierwszą? – nalegała Emily. – Chciałabym zobaczyć ten wydruk. – Była to wspaniała okazja uzyskania dokładnie tego, o co prosił Terry! Jeśli to dostanie, odczepi się wreszcie raz na zawsze.

– Ja też chciałbym to zobaczyć.

Wanda Roland nerwowo bębniła palcami po blacie biurka.

– Mogłabym spróbować... – odparła wreszcie.

– Spróbować? – zdumiała się Emily. – Wydruk z komputera otrzymuje się...

– Wiem, jak się otrzymuje wydruk z komputera, ale George ma humory. Czasami, kiedy czuje się urażony brakiem zaufania... – Mówiąc to, lekko dotknęła palcem klawiatury komputera i natychmiast cofnęła palec, jakby się oparzyła. – Aaa! – krzyknęła.

– Co się stało? Poraził panią prąd? – spytał Cody, zrywając się z fotela. – To niemożliwe. Klawisze klawiatury są plastikowe...

– Nie, nie, tylko... Patrzcie, dzieci, wszystko zniknęło z ekranu!

Cody obszedł biurko, żeby spojrzeć na monitor obrócony w kierunku Wandy Roland. Postukał w kilka klawiszy i powiedział do Emily:

– Ma rację. Zero.

– A mówiłam wam, że George ma humory... – Starsza pani miała niemal triumfalny uśmiezek na ustach. Albo kpiący. – Trzeba go zostawić na pewien czas w spokoju, a wszystko będzie dobrze.

– Nie chcę, żeby humorzasty komputer decydował o moim losie. – Emily zaczęła wszystkiego się domyślać i ta zabawa nawet jej się podobała. Będzie miała co opowiadać Terry'emu.

– Komputer nie ma co decydować. Bo ja już dawno zdecydowałem. Od samego początku wiem, że my jako para nie zdalibyśmy egzaminu. To byłoby okropne... – oświadczył zdecydowanie Cody.

– Bo niby ja jestem okropna? – obruszyła się Emily.

– Dzieci, dzieci, dajcie spokój!

– Nie jesteś z pewnością okropna, ale... Poza tym patrzysz na mnie, jakbym był jakimś bawidamkiem albo jeszcze gorzej, mordercą pięknych kobiet.

– To nieprawda!

– No bo nim nie jestem. A w ogóle to proponuję, żeby rozejść się w zgodzie i każdemu dać jego szansę. Mnie, tobie, George'owi i pani Wandzie.

– Nie rozumiem? – spytała Emily.

– Jestem gotów się poświęcić i spędzić z tobą trochę czasu, aż ten cho... George oprzytomnieje i będzie mógł wykrztusić, dlaczego według niego pod pewnymi względami pasujemy do siebie. Na pewno pani Wanda odkryje jakiś błąd, George przyzna, że się mylił, i rozejdziemy się w zgodzie.

– Powiedziałeś chyba wyraźnie, że nie jestem w twoim typie, a mimo to chcesz tracić na mnie czas? – zdziwiła się niepomrotnie Emily.

– Stale masz negatywne podejście. Ostatecznie mamy do czynienia z profesjonalistami. Jeśli pani Wanda twierdzi, że do siebie pasujemy, to...

– Nie tylko pasujecie – przerwała Wanda. – Niebiosas was dobrały...

– W niebiosach też pewno można spotkać partacką robotę – mruknęła pod nosem Emily.

– Co ty powiedziałaś? – zapytał Cody.

– Nic, głośno myślałam...

– A ja twierdę, moje dzieci...

I nagle wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, słuchając wyłącznie siebie. Potem nastąpiła nagła cisza.

Emily zastanawiała się, czy przyjąć propozycję Cody'ego spędzenia z nim paru godzin. To było zbyt ryzykowne i do niczego nie prowadziło, więc chyba odmówi. Poczula nagle silny zapach róż. Skąd tak nagle? Czy oni rozpylają te zapachy, żeby zawrócić w głowie klientom? Spojrzała na Cody'ego i dopiero wtedy zaczęło się jej kręcić w głowie, a wszystkie myśli dziwnie się poplątały. Przez ten jego przekłety uroczy uśmiech podjęcie jakiegokolwiek decyzji wydało się nagle

niezwykle trudne.

– Więc, jak powiedziałem, gotów jestem zaryzykować i poświęcić kilka godzin. Oczywiście, jeśli ty się zgadzasz? – zwrócił się do Emily.

Emily niemal natychmiast otworzyła usta, by powiedzieć, iż zdecydowanie nie, kiedy uprzedziła ją Wanda kłaśnięciem w dłonie i obwieszczeniem, że Emily na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu.

– A w tym czasie pani, pani Wando, sprawdzi dokładnie, w czym i gdzie George się myli – przypieczętował sprawę Cody.

– Solennie obiecuję! – przyrzekła Wanda Roland.

Emily pomyślała sobie, że coś jej w tym wszystkim nie pasuje. Nie miała zaufania do anielsko dobrodusznego uśmiechu Wandy Roland i w ogóle wątpiła w istnienie kapryśnego George<sup>^</sup>. Miała natomiast dziwne doznania, gdy patrzyła na człowieka, który przypadkiem, z powodu głupiej pomyłki przy wyznaczaniu godziny rozmowy z Wandą, wdarł się w jej życie i uparcie nie chciał się wycofać.

I myśląc to, usłyszała nagle wypowiedane przez siebie wbrew woli słowa:

– Niech tak będzie. Ostatecznie chodzi tylko o kilka godzin. ..

Emily i Cody stali na chodniku przed willą, w której znajdowała się agencja „Żółta Róża”. Emily wyglądała na tak zmaltretowaną i nieszczęśliwą, że Cody'emu zrobiło się jej żal. Pomyślał, że dziewczyna żałuje, iż zgodziła się na eksperyment. Postanowił dać jej możliwość wyjścia z sytuacji.

– Jeśli uważasz, że pomysł jest zły, to ja bez słowa znikam – powiedział. – I na do widzenia zostawię ci tylko uśmiech.

– Nie o to chodzi.

– Więc o co? Przecież się nie wiążemy. A trochę odprężenia tobie i mnie bardzo się przyda. Pogadamy, poznamy się i wrócimy do pani Roland, żeby jej powiedzieć, co sądzimy o głupim George'u.

Emily poweselała.

– Ale przez kilka godzin, podczas jednego czy dwu spotkań, niczego się o sobie nie dowiemy...

– Kto wie, kto wie... jeśli sesje... bo to przecież będą prawie naukowe sesje... potrwać odpowiednio długo... – Cody miał nadzieje, że będą długie, bo bardzo chciał się na sto procent upewnić, że ta kobieta, która mu się niestety tak bardzo podoba, jest definitywnie nie dla niego. Wtedy bez żalu machnie na nią ręką...

– Myślę, że patrzysz na to zbyt optymistycznie – odparła z wahaniem. – A poza tym teraz muszę już wracać do pracy. – Spojrzała w panice na zegarek.

– Może wieczorem?

– Co wieczorem?

– Spotkalibyśmy się?

– Proponujesz mi randkę?!

Wyglądała na tak zmieszaną, że głośno się roześmiał.

– No, przecież o to właśnie chodzi. Żeby się poznać.

– Niby tak. Ale wieczorem nie mogę. Muszę pracować do późna, żeby odrobić czas stracony w „Żółtej Róży”.

Ona chce się po prostu wykręcić, pomyślał, ale postanowił nalegać dalej:

– No, to może jutro? – Był przygotowany na kolejny wykręt, ale go zaskoczyła potakującym skinieniem głowy. Wydawało mu się, że Emily ma dziwnie przyspieszony oddech. – Zgadzasz się? Wyjdziemy jutro razem?

Ponownie skinęła głową.

– Przyjedź po mnie o siódmej. 7888 Carter Street – powiedziała.

– Znajdę, będę punktualnie.

– Co... dokąd... Co będziemy robić?

– A dokąd chciałabyś iść?

– A dokąd ty chciałbyś iść?

– Jeśli piękna kobieta pyta mężczyznę, dokąd chciałby iść, to oznacza, że...

– Zapomnij, że zadałam to pytanie! – Zaczerwieniła się po korzonki włosów. – Teraz uciekam... – Po kilku krokach obróciła się i zawołała: – Pójdziemy gdzieś na drinka i pogadamy.

– Doskonały pomysł! – odparł i poszedł do swego samochodu.

Każde z nich ścisnęło wręczony im ukradkiem przez Wandę Roland wydruk będący kopią wypełnionego przed paru dniami kwestionariusza. Ale nie własnego.

W sobotę parę minut przed umówioną godziną spotkania, Emily była kłębkim nerwów. Nawet koty to wyczuwały i trzymały się od niej z daleka. Kiedy wreszcie rozległ się dzwonek u drzwi, skoczyła niemal do sufitu, a potem patrzyła na nie tępo, jakby czymś jej zagrażały.

Laurie, która usadowiła się wygodnie na sofie, by móc obserwować historyczne wydarzenie, bardzo logicznie zauważyła:

– Drzwi same się nie otworzą. Umieram z niecierpliwości, żeby poznać tego faceta.

Wspaniale! Przed kilkoma dniami Laurie powiedziała „żegnaj” swemu przyjacielowi. Może Cody będzie się jej podobał, a ona jemu? I wtedy wszystko

samo się ułoży, pomyślała Emily.

Otworzyła drzwi i natychmiast zdecydowała, że nie odda go Laurie. W każdym razie jeszcze nie dziś.

Co za wspałały mężczyzna! Zabiło jej mocno serce.

W jednej ręce trzymał kapelusz, w drugiej jedną żółtą różę. I miło się uśmiechał, z wyraźną aprobatą dla tego, co widzi.

Emily długo się zastanawiała, co powinna na ten wieczór włożyć i zdecydowała się na czarne jedwabne spodnie i białą bluzkę. Jego spojrzenie mówiło, że podoba mu się ten wybór.

Odstąpiła od progu, Cody wszedł.

– Laurie, to jest Cody. Cody, przedstawiam ci moją przyjaciółkę, Laurie...

– Mam wrażenie, że dobrze pana znam. Emily tak doskonale pana opisała...

– Proszę mi mówić Cody. Bardzo mi miło panią poznać, Laurie... – Oddał różę Emily i uściśnął podaną mu przez Laurie dłoń. – Nagle zaklął, puścił dłoń i odskoczył, patrząc na nogę.

Koło nogi Cody'ego przeżył się kot. Emily szybko go chwyciła.

– Bardzo przepraszam, to jest Chloe, kot Laurie. Zapomniałam, że nie lubisz kotów.

– Zaskoczył mnie, czepiając się buta – wyjaśnił Cody, zerkając na zwierzę z wyraźnym niesmakiem. – Skąd ten wniosek, że nie lubię kotów?

– Czytałam twoje odpowiedzi w kwestionariuszu.

– Kiedy to pisałem, nie znałem osobiście żadnego kota. – Było mu głupio. Myślał, że tylko jemu Wanda wręczyła ukradkiem wydruk odpowiedzi Emily, aby wiedział, co go czeka. Pochylił się i podrapał kota za uchem. Chloe to najwidoczniej bardzo odpowiadało, gdyż zamruczała i wyraźnie chciała wyrwać się z objęć Emily i przejść do niego. – My też mamy na ranchu koty, ale żyją w stodole i polują na szczury. Prawie dzikie koty. Nie dałyby się podrapać za uchem.

Przez chwilę trwało krępujące milczenie, które Cody wreszcie przerwał pytaniem:

– Jesteś gotowa, Emily? Możemy iść?

– Jestem gotowa. – Pomyślała sobie, że właściwie nie wie, na co powinna być gotowa. – Cześć, Laurie, niedługo wrócę!

– Miło było cię poznać, Laurie – powiedział Cody. – I ciebie, Chloe, też...

Kot zeskoczył z ramion Emily i umknął za sofę, Laurie mruknęła coś bardzo niewyraźnie, Emily głęboko westchnęła, chwyciła zakiet i ruszyła w kierunku drzwi. Różę zabrała ze sobą.

Cody bardzo długo dumał nad tym, dokąd zabrać Emily. Zapoznał się dokładnie z jej odpowiedziami w kwestionariuszu i musiał niestety stwierdzić, że oboje bardzo różnią się gustami i pragnieniami. Jednym z najgorszych ciosów dla niego, jako hodowcy bydła, była informacja, że Emily jest wegetarianką. Zaczął wątpić w sens całego eksperymentu. Umawiać się z podobną osobą? Szkoda czasu i atłasu. Żeby na wegetarianizmie się kończyło! On lubił muzykę country, a ona nie. Gdzie tu miejsce na jakiś kompromis?

Po wyeliminowaniu wszystkich miejsc, gdzie Emily poczułaby się źle, pozostawał mu niewielki wybór.

Po długim namyśle zdecydował się na bar Mengera będący częścią historii eleganckiego hotelu o tej samej nazwie. Bar Mengera był między innymi sławny z tego, że od otwarcia w 1859 roku zawarto tam więcej umów między handlarzami bydła niż w pozostałej części Teksasu. Usadziwszy Emily w furgonetce, ruszył w kierunku placu Alamo i ulicy Crocketta.

Emily nie zapytała, dokąd jadą, co mogło oznaczać, że albo ma do niego pełne zaufanie, albo czyha na jego pełną kompromitację. W drodze prowadzili zdawkową rozmowę. Dopiero na ulicy Crocketta wskazała biały budynek starej hiszpańskiej misji i podnieconym głosem spytała:

– Czy to jest Alamo?

– To jest Alamo. Widzę, że nie miałaś jeszcze czasu na turystyczne spacerki.

– Jeszcze nie. Ale koniecznie chciałam to zobaczyć. Pokaż mi Tekszańczyka, który nie chce.

– Może gdy następnym razem gdzieś się wybierzemy, zwiedzimy misję wewnątrz...

– Następnym razem? – Spojrzała z ukosa.

– Jeśli się zdecydujemy na następny raz – odparł spokojnie. – Chciałbym znaleźć tu gdzieś miejsce do zaparkowania wozu...

Udało się to zaledwie o przecznicę od hotelu. Teraz zostało mu tylko jedno zmartwienie: jak pokierować resztą wieczoru, jeśli w ogóle wchodzi w grę kierowanie, a nie wyroki ślepego losu.

– Jakież to wspaniałe wnętrze – skomentowała Emily po wejściu do lokalu. Cody posadził ją przy małym sosnowym stole, który jakimś cudem zwolnił się w chwili, gdy koło niego przechodzili. W barze było bardzo tłoczno. O tej porze połowa miasta uważała za swój obowiązek pójście do Mengera.

– Bardzo lubię ten lokal – powiedział Cody, widząc, jak Emily z



zainteresowaniem ogląda wystrój baru: mosiężne ozdoby, kryształowe lustra, belkowany rzeźbiony sufit.

– Czy ten bar tak wyglądał od samego początku? – spytała.

– Z tego, co słyszałem, ten wystrój pochodzi z końca ubiegłego stulecia. Jest to podobno replika baru w Izbie Lordów w Londynie. Bardzo wierna kopia.

– Wspaniały lokal! – powtórzyła Emily. – Robi wielkie wrażenie...

Podszedł kelner, przyjął zamówienie i prawie natychmiast z nim wrócił: piwo dla Cody'ego, wino dla Emily.

Cody wznosił milczący toast.

Emily odpowiedziała tym samym.

Po upiciu kilku łyków, Cody wznowił rozmowę na temat lokalu Mengera. Wyliczył kilkanaście historycznych i legendarnych postaci, które tu chętnie spędzały wolne chwile. Emily wykazywała wielkie zainteresowanie, a Cody stwierdził, że jej pytania są inteligentne i wcale nie zdawkowe.

Następnie przeszli na inne tematy, mniej historyczne, ale wciąż jeszcze nie osobiste. Rozmowa była miła i oboje – jakże różni od siebie – doszli do zgodnego wniosku, że nie nudzą się we własnym towarzystwie. Wkrótce na stole pojawiła się następna kolejka – piwo i wino – a do tego gorący topiony ser, w którym maczało się chipsy z tortilli.

I dalej prowadzili rozmowę o Alamo, o tutejszych ludziach i o warunkach życia w San Antonio i okolicy.

– Chyba będzie mi się tu bardzo podobało – stwierdziła w pewnym momencie Emily. – Początkowo byłam bardzo niezadowolona, gdy moja firma zaproponowała mi czasowe przeniesienie do San Antonio.

– Czasowe? – Zmarszczył brwi.

– Kiedy zorganizuję im tu nowe biuro, wracam do Dallas.

– A kiedy ma to nastąpić?

– Najprawdopodobniej w lutym...

– Hmm... – Obracał szklanekę w dłoniach. – To nam nie pozostawia wiele czasu na bliższe poznanie – mruknął, obdarzając ją bardzo ciepłym uśmiechem. – Chyba będę musiał zmienić mój harmonogram... – Dźwignął się z ławy, pochylił nad stolikiem tak szybko, że nie zdołała się odsunąć, i pocałował ją lekko w usta. Potem wyprostował się i powiedział: – Idziemy!

Przez chwilę oddychała jak ryba wyrzucona z wody.

– Dokąd idziemy? – spytała wreszcie.

– Wiem, że masz wydruk moich odpowiedzi na wścibskie pytania pani Wandy.

Przeczytałaś je wszystkie, nie tylko wyznanie, że nie lubię kotów?

– Oczywiście. Przeczytałam do samego końca.

– No to wiesz, że lubię nieco inną kuchnię i inną muzykę niż ty. – Wyprowadził ją z baru na ulicę. – Postanowiłem zawieźć cię do mego ulubionego miejsca i zobaczyć, jak poradzisz sobie w zupełnie nowej dla ciebie sytuacji. Zaryzykujesz?

– Stawiasz uczciwie sprawę, więc zaryzykuję. Natomiast nie wiem, jak odgadłeś, że Menger będzie mi się podobał, ponieważ nie jest to ani lokal wegetariański, ani nie słyszałam tam żadnej muzyki pop.

– Po prostu umiem zgadywać. I teraz zgaduję, że będzie ci się podobało „U Josie”.

Jeszcze nigdy nie była w tak hałaśliwym miejscu. Lokal, pełen rozbrykanych kowbojów, dudnił muzyką country. Uśmiechnięta kelnerka zaprowadziła ich do alkowy w pobliżu estrady. Porozumiewali się z nią na migi. Nie było mowy o normalnej rozmowie. Musieliby wykrzykiwać każde słowo. A więc pozostawał tylko taniec.

Ku zaskoczeniu Emily taniec z Codym wcale nie okazał się udręką. Nieobeznana z krokiem towarzyszącym muzyce country początkowo bezlitośnie deptała partnerowi po butach. Parokrotnie miała ochotę zejść z parkietu, ale Cody tylko się śmiał i porywał ją ponownie między wirujące pary. Po pewnym czasie nawet baczny obserwator mógłby się pomylić i stwierdzić, że kto jak kto, ale ta para, nadzwyczaj przystojny kowboj i piękna blondynka, tańczą razem chyba od dziecka.

Emily była zaskoczona także tym, że odczuwa wielką przyjemność w ramionach tego mężczyzny. Czowała się bosko. Zarazem dziwnie bezpiecznie i dziwnie zagrożona. Nie ulegało wątpliwości, że Cody zbyt ją podniecał. O tak, nie można było nie reagować na jego bliskość. A jego dłoń na jej plecach nie tylko gwarantowała pełne zespolenie w tańcu i prowadzenie, ale do tego paliła...

Gdy muzyka na chwilę umilkła, a Cody chciał mimo to pozostać na parkiecie w oczekiwaniu na następny taniec, Emily potrząsnęła przecząco głową i wskazując na ich alkowę, powiedziała:

– Na mnie chyba już czas. – Spojrzała na zegarek, ale w półmroku nie dostrzegła wskazówek.

Cody chwilę się wahał, ale potem przyoblekł twarz w uśmiech i poprowadził partnerkę do stolika.

Przez całą drogę do domu Emily zastanawiała się, czy Cody zgodził się tak łatwo, ponieważ był dobrze wychowanym człowiekiem, czy też z przyczyn bardziej prozaicznych: nie przeżył ich wspólnego tańca tak mocno jak ona?

Podjechał pod samo wejście, wyłączył silnik, obrócił się ku Emily i ujmując ją delikatnie pod brodę, zapytał:

– No i jaki wyrok?

Pytanie bardzo ją zmieszało.

– No cóż, bawiłam się nieźle, jeśli o to pytasz – wyznała po chwili namysłu.

– To tylko część mego pytania. Co powiesz jutro Wandzie Roland, kiedy do ciebie zadzwoni?

Nie usiłowała odsunąć głowy i uwolnić podbródka z jego ciepłych palców. Ich dotyk sprawiał jej taką przyjemność...

– Niby dlaczego Wanda miałaby do mnie dzwonić? Ona nie ma najmniejszego pojęcia, że spędziliśmy ten wieczór razem.

– Ona ma doskonale pojęcie. Przecież maczała w tym palce. Ty jej nie doceniasz. Ta kobieta to Machiavelli. Ona i do mnie zadzwoni. I też spyta, czy coś z tego wyszło.

– Czy coś z czego wyszło... ? Cody, przestań! Przecież wiesz, że to nie ma sensu...

– Wyszło czy nie wyszło? – powtórzył pytanie.

– Wanda się myli. Nie pasujemy do siebie. Absolutnie nie.

– Absolutnie nie?

Emily przez chwilę miała wrażenie, że palce Cody'ego pieszczotliwie musnęły jej szyję. Ale chyba się myliła.

– Spędziłam naprawdę miły wieczór. Jesteś doskonałym przewodnikiem... I doceniam twoją cierpliwość... wytrwałość... – Dlaczego nagle zadrżał jej głos?

– Ja też spędziłem miły wieczór. Piękny! Wspaniały. I nie chciałbym, by był on zarazem pierwszym i ostatnim. Możemy spróbować jeszcze raz czy dwa, choćby po to, by udowodnić pani Roland, że się myli. Co ty na to?

– Tobie niepotrzebnie zajęło tobie i mnie zbyt wiele czasu... – broniła się.

– Ja mam czas. Umówimy się na jutro, Emily...

– Na jutro? Jutro jestem bardzo zajęta...

– No to w poniedziałek, wtorek? Wymień jakiś wolny dzień.

Emily miała chaos w głowie. Powinna zdecydowanie odpowiedzieć, że w ogóle nie ma czasu na takie rzeczy. Otworzyła usta... i zapytała:

– W piątek?

– Dopiero za tydzień? No cóż, akceptuję. Niech będzie piątek. Puścił jej podbródek i otworzył drzwiczki ze swojej strony.

Emily siedziała jak zastygła. Czowała pulsowanie krwi w skroniach i ciężko oddychała. Przemknęła jej przez głowę paradoksalna myśl, że przed chwilą udało jej się uniknąć trafienia przez przelatującą koło ucha kulę. A może strzałę... ? Amora... Była niemal absolutnie pewna, że będzie usiłował ją pocałować. Była mu wdzięczna za to, że nie próbował.

I była okropnie rozczarowana, że tego nie zrobił.

Cody przeszedł na jej stronę, otworzył drzwiczki i zamiast po prostu podać rękę, by mogła wyskoczyć na ziemię, objął ją w pasie, przygarnął, uniósł i zestawił na ziemię.

Zdumiona zaniemówiła. Wcale przyjemne doświadczenie!

– No i nie było to takie ciężkie przeżycie? Te kilka godzin w moim towarzystwie? – spytał.

Nim zdołała odpowiedzieć, wydarzyło się to, czego przedtem się bała i czego jednocześnie pragnęła: pocałował ją w usta.

Miała wrażenie, że włożyła palce do gniazda zasilania. Przeszył ją prąd, przez głowę przemknęła przedziwna jasność niby od uderzenia pioruna. Czegoś podobnego chyba nigdy nie doświadczyła i aby to sprawdzić, zarzuciła mu ręce na ramiona i przyłgnęła całym ciałem, aby pocałunek przedłużyć.

Coś podobnego! A taka byłam pewna, że nie możemy mieć ze sobą nic wspólnego, pomyślała.

O godzinie trzeciej nad ranem dnia ósmego listopada, Mata Hari wysłała do Skryby pocztą elektroniczną list następującej treści:

„Kolejny raport. Nie mam żadnych specjalnych informacji. Komputer Wandy Roland zepsuty, więc mnie jeszcze z nikim właściwym nie skojarzyła. Terry, nie kłamałeś? Prosiłeś mnie o materiał w związku z pisaniem artykułu nie wyrządzającego nikomu krzywdy, prawda? Pytam o to, ponieważ mam tu do czynienia z bardzo miłymi ludźmi i nie chciałabym sprawić im przykrości. Zresztą może upłynąć jeszcze dużo czasu, nim dowiem się czegoś, co mogłoby cię zainteresować... ”

## Rozdział 4

Już po kilku godzinach Mata Hari otrzymała od Skryby odpowiedź na swój list z nocy ósmego listopada. List był opatrzony bardzo znamionym tytułem: „Aha, mam cię!”.

„Jeśli nic ciekawego się nie wydarzyło, to dlaczego piszesz o trzeciej nad ranem? Chyba nie czekałaś całą noc na telefon od Wandy? Coś mi tu nie pasuje. Ale ty jesteś czasami nieprzewidywalna. Z drugiej strony ci kojarzyciele w «Zółtej Róży» nie wydają mi się zbyt kompetentni. Ale będę cierpliwie czekał, moja ulubiona kuzyneczko. Pamiętaj jednak, że mam nosa i nawet z tak daleka coś czuję. Tylko nie wiem jeszcze co. Ale się dowiem”.

Wanda zadzwoniła do Emily, kiedy ta jeszcze siedziała zadumana nad krótką epistołą elektroniczną od Terry'ego. Słyszając jej wesolutki głos, Emily poczuła niezrozumiały przyływ winy. Zadrżała jej ręka i omal nie upuściła słuchawki.

– Jak udała się wczorajsza randka z Codym? – spytała.

– Skąd pani wiedziała, że miałam randkę z Codym?!

– Skąd... ? No bo... Chyba mi powiedziałaś, dziecko...

– Na pewno nie.

– No to pewno on mi powiedział. Zresztą nieważne. Jak poszło?

– Miło spędziliśmy czas... – Pół nocy rozmyślała nad „miło spędzonym” czasem. Z jednej strony była zdumiona, że osoby o tak różnych charakterach i życiowych ambicjach mogły tak dobrze ze sobą współistnieć, z drugiej strony zaczęła mieć wyrzuty sumienia, że wprowadziła w błąd agencję matrymonialną, a tym samym i Cody'ego. Była niewyspana i rozkojarzona.

Wanda chyba nie zauważyła nic specjalnego w tonie głosu Emily, gdyż wykrzyknęła:

– To rzeczywiście wspaniale! Wiedziałałam, że wy dwoje pasujecie do siebie.

– Ależ wcale nie pasujemy! – zaprotestowała Emily. – Niby skąd taki wniosek? Te kilka godzin razem spędzonych było rezultatem zepsucia się przereklamowanego George'a. Po prostu czekamy, aż zacznie śpiewać, wystukiwać, czy co tam jeszcze. George po prostu nawalił. Przecież nie mógł skojarzyć nas razem. To byłby czysty absurd.

Po drugiej stronie zapadło długie milczenie, wreszcie Wanda Roland dość suchym tonem obwieściła, że George nadal milczy, w związku z czym należy po

prostu cierpliwie poczekać. Po czym miłym głosem zapytała:

– Na kiedy się umówiliście, moje dzieci? Ty i Cody.

– Na najbliższy piątek, ale to nie oznacza...

– Oczywiście, że nie oznacza! Nic nie oznacza. Życzę ci miłego dnia, moje dziecko. Do widzenia. – Wanda Roland odłożyła słuchawkę, nie czekając na odpowiedź.

Emily także odłożyła swoją. Stała nad aparatem głęboko zamyślona. Coś tu nie było tak, jak powinno być. Ale co? Westchnęła, usiadła, wzięła do ręki kubek jeszcze ciepłej kawy, upiła kilka łyków i zabrała się do przeglądania niedzielnej gazety.

Lekturę przerwała jej Laurie, która głośno ziewając i szurając nocnymi pantoflami, wyszła z sypialni z półprzymkniętymi oczami, jakby jeszcze na dobre się nie rozbudziła.

– No i jak ci wczoraj poszło? – spytała. – O której wróciłaś? Przystawiał się do ciebie? Zalecałaś się do niego? – Laurie zadawałaby nadal pytania, gdyby Emily nie przerwała jej dość szorstko:

– Daję ci jedną odpowiedź na wszystkie pytania: nie twoja sprawa!

Laurie podreptała do kuchenki i naląła sobie kawy.

– A taka jestem strasznie, okropnie ciekawa. Zlituj się nade mną i rzuć parę ochłapków.

– Żadnych ochłapków ode mnie nie dostaniesz.

– A wiesz co? Ja już chyba coś i tak wiem... – Usiadła na kanapce, podwijając nogi pod siebie. – Wczoraj dobrze mu się przyjrzałam i chyba trochę go przejrzałam. Ja mam na takie rzeczy oko.

– I cóż twoje oko wypatrzyło? – spytała Emily mimo wszystko zaintrygowana.

– Z nim jest jeden wielki problem... – Laurie zrobiła dramatyczną pauzę. – On jest bezbłędny! To naprawdę bezbłędny facet. Marzenie każdej kobiety.

– Nie ma bezbłędnych ludzi. Zwłaszcza mężczyzn.

– A ja mam w tym wypadku inne zdanie. Jest diabelnie przystojny i podniecający, ma poczucie humoru i jest szarmancki wobec kobiet. Potrafi szanować kobiety.

– I to wszystko wypatrzyłaś w ciągu kilku minut?

– Nie tylko to, nie tylko, Emily... – Laurie głęboko westchnęła. – Chyba się w nim zakochałam. Jeśli zdecydujesz, że go nie chcesz, to odstęp go mnie... Aha, zapomniałam ci powiedzieć... Kupiłam piątkowe wydanie tego tygodnika, w którym pisuje Terry. No wiesz, „Cześć, chłopaki!”. I jest tam jego doskonały

artykuł o Dniu Dziękczynienia. Wiesz, ten twój kuzynek czasami mnie zadziwia...

Laurie coś dalej mówiła, ale Emily nie myślała o swoim kuzynie Terry, ale o pewnym kowboju imieniem Cody. Czyżby Laurie mogła mieć rację, mówiąc, że on jest bezbłędny?

– Jak się udała randka? – spytał przy śniadaniu Ben.

Ponieważ była to niedziela, Elena piekła wafle, których aromat wypełniał całą kuchnię.

– Jako tako, ale to... chyba nie dla mnie – odparł Cody.

– Często tak mówiłeś, ale nigdy cię to nie zniechęcało, żeby jednak spróbować – stwierdził Ben.

– I zawsze drogo za to płaciłem.

– To prawda. Ale powiedz, braciszku, czy cały wieczór zajęło wam wyliczanie powodów, dla których do siebie nie pasujecie?

– Wyobraź sobie, złośliwcze, że nie było na to czasu. Zabrałem ją do baru Mengera i była zachwycona. No, to poszedłem z nią do „Josie” i piała z radości. Odwiozłem ją do domu i... – Cody zerknął na dzieci Bena, które były na szczęście pochłonięte pałaszowaniem wafli. – No i też jej to odpowiadało.

– Wygląda na porządną kobitkę – stwierdził Ben.

– I mnie się też tak wydaje, ale... to chyba nie jest tak. Fakty temu zaprzeczają.

– Jakie znowu fakty?

Cody po raz wtóry zerknął na dzieci, tym razem wymownie. Właściwie to nie chciał wszystkiego mówić bratu. Na przykład o stwierdzeniach Emily w kwestionariuszu. Że nie jest zainteresowana małżeństwem, że chce się tylko bawić teraz, a może I potem. No i że nie chce żadnych dzieci...

– Ale jest ładna, prawda, wujku Cody? – dobiegło do Cody'ego pytanie Liany, która najwidoczniej pilnie przysłuchiwała się rozmowie starszych.

– Może i jest – odparł z ociąganiem. – Jeśli ktoś lubi blondynki z brązowymi oczami. – Nawet nie zdawał sobie sprawy, że zaczyna wyliczać dalsze cechy Emily: – Ma bardzo długie nogi, śliczny uśmiech i wcale nie jest głupia.

– Wygląda na kobietę bezbłędną. Ze świecą takiej szukać – stwierdził Ben. – A powiedziałaś jej prawdę o sobie... ? Kim jesteś, co sobą reprezentujesz? Przedstawiłaś jej... – zerknął na dzieci – ... sytuację?

– Właściwie... Niezupełnie.

– To mogłoby poważnie skomplikować sprawę, drogi braciszku, gdyby miało z tego wyjść coś poważnego. Może lepiej ożeń się z nią, nim ona się dowie. Wtedy

też może będziesz miał wreszcie czas z powrotem zająć się interesami.

– Wiem, że ostatnio zbyt wiele czasu poświęcam na wyjazdy do miasta. Bardzo cię za to przepraszam – odparł Cody z uśmiechem zakłopotania. – Ale sam widzisz, w tej agencji wcale tak prosto nie idzie. Myślałem, że „Żółta Róża”...

– Już dobrze, dobrze, jakoś sobie daję radę. Jestem cierpliwy, rozumiem. Tylko jeszcze jedno... Ta stara furgonetka jest rozklekotana, ma starte opony. Weź lepiej któryś z porządnych samochodów.

– A najpierw weź kilka wafli, nim dzieci wszystko spałaszują – wtrąciła wesoło Elena.

– Jeszcze tylko jednego...

– A może byś tak zaprosił ją na ranczo? – uparcie ciągnął temat Ben. – Niech pozna rodzinę.

– Jeszcze jest na to czas. – Cody już myślał o tym, ale sytuację komplikował nieco fakt, że zataił prawdę na temat swojej osoby. I nie tylko to: gdyby Emily dowiedziała się, kim są Jamesowie, i zorientowała się, jacy są bogaci... Nie, będzie postępował zgodnie z pierwotnym planem!

Chwilowo pozostanie Cody James, zwykły kowboj.

A Emily Kirkwood, może i bezbłędny wybór, ale kobieta zdecydowanie nie dla niego.

W piątek wieczorem Cody zabrał Emily na przejażdżkę stateczkiem po czterokilometrowym odcinku rzeki San Antonio, w samym centrum miasta. Po obu stronach wąskiej rzeczki znajdowały się trakty spacerowe, pełne eleganckich sklepów, restauracji i uroczych kawiarenek. Emily jeszcze nigdy tu nie była, mimo że właściwie na River Walk – tak się nazywała promenada – pracowała Laurie.

Na stateczku przewodnik opowiadał z zapałem, prawdopodobnie po raz tysięczny któryś, jak to ojcowie miasta postanowili ujarzmić niesforną rzeczkę San Antonio i miast ją zignorować lub zabudować, „cywilizowanie wychowali”. I teraz River Walk i Paseo del Rio są jednymi z najbardziej znanych atrakcji turystycznych Teksasu.

Emily słuchała przewodnika jednym uchem nie tylko dlatego, że pasjonował ją widok. Znacznie bardziej interesował ją mężczyzna, z którym przebywała. Chciałaby móc lepiej go poznać i zrozumieć.

– Dziś jest tu dużo ludzi, ale gdybyś przyszła w Dniu Dziękczynienia, to dopiero... – zaczął Cody. – A skoro o tym mówimy: czym masz jakieś plany na ten dzień?



– Nie – odparła machinalnie, nie zdając sobie nawet sprawy z konsekwencji takiej odpowiedzi.

– W takim razie... Bardzo bym chciał spędzić ten dzień z tobą. Moglibyśmy pójść do jednej z tych restauracji, które przygotowują świąteczne przyjęcia na otwartym powietrzu albo...

– Albo ja mogłabym coś przygotować... – wyrwało się jej, nim zdołała poważnie się zastanowić, w co się pakuje. Natychmiast zaczęła tłumaczyć: – Bo Laurie wyjeżdża do rodziny w Dallas... Nawet chciała, żebym z nią pojechała, ale są przecież koty, które trzeba karmić, i w ogóle... – Po co ja się tłumaczę, pomyślała. Co go to obchodzi... ?

– Ty mogłabyś coś przygotować? – zdziwił się. – Umiesz gotować?

– Oczywiście! Jesteś zaskoczony? Niby dlaczego?

– Skoro obok innych cnót masz i cnotę łaskotania podniebienia, ochocho akceptuję twoją propozycję. Bez tłumów, bez kurzu, bez hałasów...

Emily przestraszyła się nagle tego, co zrobiła.

– Z decyzją musimy poczekać. Wanda może nas zawiadomić, że George wybrał dla każdego z nas kogoś innego. Trudno byłoby wówczas tym osobom wytłumaczyć, że spędzamy święto w towarzystwie nieodpowiednim... nie pasującym... No, bo my z pewnością do siebie nie pasujemy, prawda? George się omylił.

– Z pewnością masz rację – odparł z powagą. – Trzeba poczekać na znak od Wandy. A potem... pójść wytyczoną przez bogów...

– *Vaya eon dios?* Chcesz powiedzieć, że wtedy się raz na zawsze pożegnamy, bo bogowie wytyczą nam osobne drogi?

– Chyba tak się niestety stanie – przyznał i objął Emily przyjaznym, opiekuńczym ramieniem.

To znaczy, że Emily była pewna, iż ramię jest przyjazne i opiekuńcze.

Cody, najwyraźniej nieporuszony niemal pewną perspektywą pożegnania się z Emily raz na zawsze, zaczął wesoło opowiadać, jak to następnego dnia po Dniu Dziękczynienia zapalają się na nabrzeżu i w mieście tysiące świetlnych girland, zapoczątkowując okres przed kolejnymi świętami – Bożego Narodzenia – okres oczekiwania na przybycie Pancho Clausa.

– Pancho Clausa?

– Tutejsza nazwa Świętego Mikołaja – wyjaśnił. – Święta w San Antonio mają meksykański posmak, czerpią z meksykańskich tradycji. Procesje, pochody, żywe żłobki, zabawy...

Emily wtulona w ramię Cody'ego słuchała z przyjemnością jego głosu, niemal szczęśliwa, że ma przy sobie człowieka, który... No tak, który zupełnie do niej nie pasuje. Skąd to wie... ? No, cóż... Zagubiła się w labiryncie sprzecznych myśli.

– Zobaczymy, co z tego wszystkiego wyjdzie – powiedziała wreszcie i głęboko westchnęła. Odsunęła się od niego i usiadła prosto. – Życie sprawia niespodzianki...

Cody wydawał się nieco zdziwiony jej zachowaniem i słowami. Pokiwał głową i mruknął pod nosem:

– Życie bywa w istocie dziwne. Poczekamy, zobaczymy... Kilka minut później stateczek przybił do przystani. Wyszli na brzeg w tłumie turystów. Nie byli już w tym cudownym nastroju, jaki im towarzyszył przez kilkanaście minut wędrówki krainą wspaniałego szlaku wodnego.

Kiedy odprowadził Emily pod dom, objął ją bardzo delikatnie, choć miał wielką ochotę wtulić ją w siebie z całej mocy. To mogło ją jednak wystraszyć.

– Było mi z tobą bardzo dobrze – wyznał szczerze.

– Mnie też – odparła, położywszy dłonie na jego barkach, jakby zamierzała go odepchnąć. Nie zrobiła tego, choć w jej oczach Cody wyczytał ostrzeżenie, by nie posuwał się dalej. – Ale z tego nic nie wyjdzie – dodała.

– Pewno masz rację – zgodził się. – Więc Dzień Dziękczynienia... ?

– Nie masz żadnej rodziny, z którą powinieneś ten dzień spędzić?

– Mam, ale widzimy się codziennie. A twoja rodzina?

– Ojciec nie żyje, a matka... – Wyraźnie pociemniały jej oczy. – Od wielu lat jej nie widziałam. Mieszka w Londynie ze swym drugim mężem.

– Bardzo mi przykro... – zaczął.

– Nie ma o czym mówić – przerwała cierpko.

Cody poczuł na barkach jej zaciskające się palce, jakby za chwilę miała go odepchnąć. Błyskawicznie pochylił głowę i pocałował ją. Od początku tej randki zamierzał to zrobić, by sprawdzić, czy powtórzy się oszałamiające uczucie, jakiego doznał, całując ją przed tygodniem po raz pierwszy.

Powtórzyło się! Jeszcze wspanialsze uczucie! I nie był to pocałunek złożony na obojętnych wargach, o nie! Pocałunek został stokrotnie zwrócony, chociaż zaraz po tym nastąpiła odwrotna reakcja. Emily odskoczyła o krok i mało logicznie – biorąc pod uwagę namiętność, jaką sama okazała – powiedziała:

– Nigdy więcej tego nie rób!

– A niby dlaczego? – zapytał niewinnym tonem, chociaż dobrze wiedział,

dlaczego każdy pocałunek rozpałał w nich obojgu ogień.

– Ponieważ donikąd to nie prowadzi – ciągnęła swoją linię obrony. – I ty doskonale zdajesz sobie z tego sprawę.

– Dziwnie to brzmi w ustach kobiety, która w kwestionariuszu napisała, że interesuje ją tylko podbawianie się.

– Wcale nie napisałam podbawianie... A poza tym nie mam obowiązku tłumaczenia się przed tobą!

– Oczywiście, że nie masz.

– Po prostu odliczamy czas. Czekamy na poprawione wyniki, które ma nam dać George. I nie chciałabym, żeby nasze stosunki zrobiły się... – urwała.

– No jakie, jakie? – nalegał.

– Ckliwe.

– Ckliwe! – Miał ochotę roześmiać się. W głębi duszy uważał, że już się stały zbyt ckliwe. – Jak sobie chcesz, Emily. I na dowód tego, że nie mam do ciebie najmniejszego żalu, proponuję wycieczkę do Alamo. Jutro.

– Niedobry pomysł. Za często się widzimy.

– A jednak masz do mnie jakąś pretensję i chcesz mnie unikać.

– Nie mam najmniejszej pretensji.

– W takim razie przyjadę po ciebie jutro o pierwszej. – Pocałował ją w czubek nosa, nim zdążyła odskoczyć. – I nie kłam. Wiem, że masz ochotę mnie zobaczyć. – Uchylił kapelusza i odszedł, zanim zdołała otworzyć usta, by zaprotestować.

Alamo było hiszpańską misją ustanowioną na tym terenie w 1691 roku. Budynek misji zagarnęło z czasem miasto. Znajdowało się tam obecnie muzeum, będące celem pielgrzymek rzesz turystów ze wszystkich stanów. Ze szkolnych lekcji historii Emily zapamiętała, że w 1836 roku na terenie misji 189 Tekszańców, przez trzynaście dni, broniło się przed czterema tysiącami meksykańskich żołnierzy. Wszyscy obrońcy zginęli. To wydarzenie zapoczątkowało wojnę przeciwko Meksykowi. Hasło „Pamiętajcie Alamo!” rozbrzmiewało w całym kraju.

Kompleks misyjny, obejmujący kwadrat ulic, zaczynał się tuż za hotelem Mengera, dokąd Cody zabrał Emily podczas ich pierwszej randki. Idąc w tłumie turystów prowadzonych przez przewodniczkę, Emily odczuwała tę samą co poprzedniego dnia zdumiewającą przyjemność, że ma u boku Cody'ego. Zatrzymywali się przed tablicami opisującymi wyczyny dzielnych Tekszańców i niemal nabożnie czytali każde słowo. Emily po raz pierwszy, Cody – nie wiadomo

już który.

– Za każdym razem, kiedy tu jestem, a byłem już wiele razy, zawsze odczuwam to samo – powiedział Cody. – Wielką dumę, że jestem Teksaszczykiem.

– Teksaszczyki i bez Alamo byliby dumni, taka ich natura – zażartowała. – Ale ja rozumiem, co masz na myśli, choć jestem tu po raz pierwszy, mimo że od dziecka pragnęłam odwiedzić to miejsce. Jakoś jednak nie wychodziło.

– Może masz jeszcze jakieś pragnienia, które mógłbym zaspokoić? – spytał.

– Jeszcze jakieś pragnienia? Pozwolisz, że się zastanowię... Jakoś nic mi nie przychodzi do głowy. – Roześmiała się.

– A ja mam ich wiele. Jednakże chwilowo zachowam je dla siebie. Z wyjątkiem jednego. Nie odmówiłbym gorącego *taco* i zimnego piwa. Lubisz meksykańskie jedzenie?

– Uwielbiam!

Poszli do malutkiego ni to baru, ni restauracyjki, gdzie ledwo starczało miejsca na kuchenne zaplecze, barową ladę i pod ścianą rząd stolików poprzedzielanych drewnianymi przepierzeniami. Nad wejściem wisiał szyld z nazwą „U Ramona”. Cody'ego powitał wylewnie sam Ramon.

– Dla pani to samo co zwykle dla pana? – spytał, gdy usiedli za stolikiem.

– Prawie to samo. Pani jest wegetarianką, a więc wniosek jasny.

Emily uniosła brwi, ale szybko przypomniała sobie kwestionariusz, jaki wypełniła stekiem głupstw. Spod opuszczonych powiek spojrzała na Cody'ego, nieco zdziwiona szacunkiem, jaki zwykłemu kowbojowi okazywał Ramon. Cody musiał być z jakichś powodów dobrze znany w San Antonio.

– Urodziłeś się w San Antonio? – spytała. – Znasz je tak dobrze i ciebie znają... Zawsze myślałam, że kowboje wędrują z miejsca na miejsce...

– Urodziłem się na ranchu w pobliżu... – Opuścił wzrok na stół, zastanawiając się, co i ile powiedzieć. – Ale mieszkałem tu u babki po śmierci mego dziadka... Jednakże całe lato spędzałem zawsze na ranchu. I kiedy skończyłem studia na uniwersytecie w Austin, wiedziałem, co wybiorę. Nie życie miejskie, ale właśnie na ranchu.

Zdziwiło ją, że absolwent wyższej uczelni jest kowbojem. Po zastanowieniu doszła jednak do wniosku, że nie jest to nic wyjątkowego. Nie każdy absolwent wyższej uczelni ma ambicje osiągnąć w życiu lepszy status niż jego rodzice. A rodzice Cody'ego byli z pewnością prostymi ludźmi.

– No i zdecydowałeś się zostać kowbojem – skwitowała jego zwierzenia.

– Nie była to moja samodzielna decyzja... – przyznał. Wydawało się, że chce

jeszcze coś powiedzieć, ale ponieważ tego nie zrobił, Emily mówiła dalej:

– Ja chyba cię rozumiem. Masz ducha człowieka niezależnego, robisz to, co lubisz. I bardzo dobrze. Czujesz się wolny. Z niczym nie związany na śmierć i życie. Nie dążysz do wielkiej kariery, do wzbogacenia się... Jak się nazywa to ranczo, na którym pracujesz?

– „Latające J”. – Szybko zmienił temat: – Hej, hej, jest już nasza uczta... !

Ramon zamasyżuje postawił przed nimi talerze.

– Smacznego! – powiedział i odszedł.

Emily ze zdumieniem patrzyła na kopiaste porcje.

– Czy ktokolwiek potrafi to wszystko zjeść? – spytała.

– Patrz na mnie i rób to samo. I nie bój się, na twoim talerzu nie ma skrawka mięsa.

Emily była z tego powodu nieco zmartwiona.

– Ja tak znowu nie jestem... Od czasu do czasu jadam mięso.

– No, to po diabła wpisałaś do kwestionariusza, że jesteś wegetarianką?

Nie mogła mu odpowiedzieć, że kwestionariusz wypełniała dla kawału i że nie sądziła, by jej odpowiedzi miały dla kogokolwiek jakieś znaczenie.

– Pewno tak się czułam tamtego dnia. – Tłumaczenie było kulawe, ale lepszego nie znalazła.

– Aha, rozumiem. Więc kiedy zadam ci jakieś pytanie, to odpowiedź będzie zależała od dnia tygodnia lub miesiąca? – zażartował.

– W pewnym sensie może i tak. – Zaśmiała się nerwowo.

– Wanda zresztą powiedziała ci, że prawem kobiety jest zmienianie zdania.

– Przypomnę to następnym razem, kiedy...

– Cody James, stary skurczybyku... ! – zagrział nad nimi tubalny głos.

Cody poderwał się, jakby mu ktoś strzelił nad uchem. Emily także podniosła głowę. Obok stolika stał stary kowboj w wyświechtanym kapeluszu. Podpierał się laską. Cody chwycił dłoń starego i zaczął nią potrząsać.

– Jakże miło cię widzieć, Andy! – wykrzyknął. – A już dobiegły mnie wieści, że cię rozdeptał byk. Wspaniale, że się tak szybko wylizaleś.

Przysłuchująca się wszystkiemu Emily zauważyła, że stary kowboj ma tak pałakowate nogi, że przypominają napięte łuki. Nie wyobrażała sobie, jak na takich nogach można chodzić.

Andy wykrzywił twarz w uśmiechu, odsłaniając puste miejsca po utraconych zębach.

– Dobrze dobiegły te wieści – odparł. – Nie tylko mnie podeptał, ale jeszcze

stanał nade mną i ryczał pewno ze śmiechu. Przyjaciółeczka? – spytał, wskazując głową Emily.

– Andy Dowson, Emily Kirkwood – przedstawił ich sobie Cody.

– Miło mi! – Andy uchylił kapelusza, a potem spoglądając na Cody'ego, ponowił pytanie: – Przyjaciółeczka? Taka na amen?

– Nie twoja sprawa, na amen czy nie... – Cody zawahał się.

– Przysiądziesz się?

– Nie mam czasu. Wpadłem tu, żeby mi Ramon przygotował coś na wynos. Byłem u doktora i teraz muszę jak najszybciej wracać na ranczo.

Emily zauważyła ulgę na twarzy Cody'ego.

– Aha, powiedz mi jeszcze, Cody, kiedy będziecie mieli na ranczu aukcję longhornów? Ben mi powiedział, że decyzja zależy od ciebie...

– Więc jeśli idzie o aukcję... – Cody ujął starego pod ramię i pośpiesznie odprowadził go do kasy, gdzie czekał już Ramon z gotowym pakunkiem.

Reszty rozmowy Emily nie słyszała, miała natomiast wrażenie, że Cody usiłuje jak najszybciej pozbyć się tak serdecznie powitanego przed chwilą człowieka. Bardzo ją to zdziwiło.

Cody wrócił do stolika jakby nieco wytrącony z równowagi i zamyślony.

Chcąc przywrócić poprzedni nastrój, Emily powiedziała:

– Nim twój przyjaciel nam przerwał, mówiłeś, że mi przypomnisz moje słowa, kiedy... I nie skończyłeś. Kiedy co?

– Zapomnijmy o tym. Pomówmy o Dniu Dziękczynienia.

– Jeszcze jest na to czas.

Zmarszczył brwi.

– Drugi czwartek... Czasu zostało mało. Trzeba robić plany. Czy twoje zaproszenie jest nadal aktualne?

Emily wstrzymała oddech. Sam na sam z Codym w jej mieszkaniu? Po chwili wahania odparła:

– No... chyba tak. Ale musimy zostawić sobie furtkę...

– Furtkę? Jaką furtkę i po co?

– Już zapomniałeś? Jeśli Wanda i George dojdą do porozumienia i znajdą błąd, przydzielając nam kogoś innego... to będziemy musieli to odwołać... choćby w ostatniej chwili...

– Ależ oczywiście! Ale wierzę, że to się nie stanie.

Emily zaśmiała się nieszczerze.

– Może i masz rację. Wiesz? Pomyślałam sobie nawet, że ten George w ogóle

nie istnieje, a monitor i klawiatura to tylko atrapy. Że też Wanda jeszcze nie wpadła. Cała ta ich reklama, że to jest najnowocześniejsza, całkowicie skomputeryzowana agencja matrymonialna, to jedna wielka lipa.

– Może i nie lipa. Jeśli mają dobre rezultaty, to co kogo obchodzi komputer. Teresa powiedziała mi, że ta Wanda Roland skojarzyła więcej szczęśliwych par niż wszyscy inni zawodowi kojarzyciele w stanie Teksas.

– Czyżby? No to w jaki sposób tłumaczyć nasz przypadek, a raczej wpadkę Wandy?

– Nie mam pojęcia. Nie próbuję nawet tego zrozumieć. Ale powiedz mi, Emily, co ciebie tak odstręcza od małżeństwa?

– Poprzednie doświadczenie – odparła tak szybko, że nawet nie zdążyła poddać tego stwierdzenia wewnętrznej cenzurze.

– Jakie znowu doświadczenie? Zgodnie z twoją ankietą nie byłaś poprzednio zamężna. Czy może również ta odpowiedź zależała od dnia?

– Nie byłam, ale mam oczy. Ale ty! Dlaczego tak bronisz małżeństwa, skoro byłeś żonaty i rozwiodłeś się.

– Bo też mam oczy, moja droga. Tak, to prawda, za pierwszym razem nie udało się. Moja wina. Wtedy miałem zamknięte oczy. Ale nie teraz. Teraz mam otwarte i widzę, jaka to może być dobra rzecz... małżeństwo. I chcę takiego. Może jestem naiwny, ale wierzę, że nie. – Westchnął z satysfakcją. – Skończyłaś? Idziemy?

– Idziemy.

– I jesteście umówieni na Dzień Dziękczynienia?

Wstała, czując się jakby w pułapce, ale i podniecona perspektywą spędzenia świątecznego dnia w towarzystwie Cody'ego. Upiecze niewielką indyczkę, tradycyjne drożdżowe bułeczki, no i szarlotkę z dyni. Od lat tego nie robiła, ale nie zapomniała, jak się do tego zabrać. Pomyślała sobie, że miło jest znowu mieć kogoś, dla kogo warto w ten sposób poświęcić czas...

– Dobrze, jesteście umówieni! – odparła.

Zobaczyła jego spojrzenie i poczuła mrówki na plecach.

Gdy stanęli przed jej drzwiami, usłyszeli telefon w mieszkaniu. Emily szybko weszła, żeby odebrać. Cody podążył za nią.

Dzwoniła Wanda Roland.

– Dzień dobry, drogie dziecko. Jak wam się udało Alamo?

– Dzwoni Wanda – poinformowała Emily Cody'ego, zasłaniając mikrofon. – Nie mówiłam pani, że idziemy do Alamo – powiedziała do słuchawki.

– Co ty mówisz? No, to skąd ja wiem, że byliście tam, Cody » ty-xxx– Czy jest coś nowego?

– Chyba jest... George odezwał się. Jeśli ty, drogie dziecko, i Cody zjawicie się u mnie w poniedziałek o dziesiątej rano, to być może będę miała dla was obojga dobre wiadomości...

Emily przestało bić serce. Nici ze wspólnego obiadu z Codym w Dniu Dziękczynienia! Wykrztusiła z siebie jakiś nieartykułowany dźwięk, na który Wanda Roland zareagowała pytaniem:

– Spytaj Cody'ego, czy może przyjść w poniedziałek o dziesiątej rano, dobrze?

– Ja mam spytać... ?

– No przecież jest tam z tobą!

– Skąd pani... ? – Ta Wanda Roland jest niesamowita, pomyślała. – Tak, jest. Zaraz go spytam. – Po raz wtóry zasłoniła mikrofon telefonu. – Wanda pyta, czy możesz być w „Żółtej Róży” w poniedziałek o dziesiątej rano. Mówi, że być może będzie miała dla nas dobre wiadomości.

Cody ze zdumienia otworzył szeroko oczy, a potem powoli skinął kilka razy głową. Wyglądało to, jakby kiwał ze smutkiem.

– Będziemy w poniedziałek o dziesiątej – powiedziała do słuchawki Emily.

– To doskonale. Czekam. – Wanda odłożyła słuchawkę.

Emily zrobiła to samo, ale bardzo wolno, z ociąganiem, jakby żałowała, że nie powiedziała Wandzie Roland czegoś bardzo ważnego.

– Wanda powiedziała, że George przemówił – poinformowała Cody'ego. – To oznacza chyba koniec naszej pięknej, przymusowej przyjaźni – dodała, siląc się na wesołość.

– Jeszcze nie tak pięknej, w jaką dopiero mogłaby się rozwinąć – odparł, otwartą dłonią ujął podbródek Emily i złożył lekki pocałunek na jej ustach. – Do poniedziałku. – Po chwili już go nie było.

W sobotę dwudziestego pierwszego listopada, o godzinie siódmej rano, Mata Hari wysłała pocztą elektroniczną list do Skryby. Nagłówek listu brzmiał: „Lepiej późno niż nigdy”.

„Drogi Terry, wygląda na to, że wkrótce zakończę sprawę z «Złotą Różą». Mam tam wyznaczone spotkanie na poniedziałek rano. Wanda Roland poinformowała mnie, że komputer jest już naprawiony i że mi wreszcie kogoś znaleźliśmy. Zobaczymy. Poinformuję cię o wszystkim, ale wyznaję, że mam już tego dość... ”





## Rozdział 5

W niedzielę dwudziestego drugiego listopada, o godzinie dziesiątej rano, Skryba wysłał pocztą elektroniczną następujący list do Maty Hari:

„Znam ja cię dobrze, droga kuzynko. Dlaczego tak długo milczałaś? Już miałem wysłać po ciebie gwardię narodową. Akceptowane przez ciebie zlecenie... Możemy to tak nazwać, prawda?... Obejmowało jedną randkę i dokładny jej opis...”

Cody był w piekielnym humorze. Siedział na górnej żerdzi ogrodzenia niewielkiego pastwiska, na którym pasło się kilka teksaskich longhornów, i próbował się na nich skoncentrować. Bez powodzenia. Krowy i byki jakby przestały go interesować. Interesowała go tylko kobieta imieniem Emily. Jeszcze raz ją zobaczy, w poniedziałek, czyli jutro, a potem już nigdy się nie spotkają. Bynajmniej się tym nie cieszył.

– Dobre sztuki – zauważył wsparty o ogrodzenie Ben. – Doskonała budowa i świetne rogi. I barwa! Zwłaszcza ten młodziak... – Wskazał palcem młodego byczka.

– Hmm... – mruknął Cody.

– Ludzie są śmieszni – ciągnął dalej Ben. – Płacą za kolor skóry i długość rogów, a nawet nie zapytają o zdrowie bydlaka. Ale ten po lewej jest chyba najlepszy, co, Cody?

– Hmm...

– Wiesz co, Cody, sprzedajmy wszystkie i zajmujmy się hodowlą indyków... !

– Ben spojrzał z ukosa na brata.

Emily chyba jednak z żalem w głosie wspominała o tym, że w poniedziałek zobaczą się po raz ostatni, pomyślał Cody.

– Cody! Słyszałeś, co powiedziałem?

– Oczywiście, Ben. Wszystko słyszałem. Przez cały czas pilnie cię słucham.

– Więc aprobujesz hodowlę indyków?

– Co ty pleciesz? O czym ty gadasz?

– Otóż to! Nie masz pojęcia, o czym mówię. Myślimi jesteś o milion kilometrów stąd. A może powinienem powiedzieć, że o sto. W San Antonio. Przestajesz zajmować się interesami, chodzisz z błędnym wzrokiem...

– Mam pewne sprawy...

– Pewne sprawy, pewne sprawy... ! Dziewczyna, ot co! A przecież sam powiedziałeś, że ona jest z gatunku, jakiego nie lubisz. I masz rację, że nie lubisz. Wegetarianka! Na ranchu hodowlanym wegetarianka! Nie do pomyślenia! Więc daj sobie z nią spokój... ! Cholera! Kobieta, która nie docenia befsztyka! Straszne, nie do przyjęcia...

– Okazało się, że ona jest tylko czasami wegetarianką... – zaczął wyjaśniać Cody.

– To brzmi podejrzenie. Może ona jest stuknięta?

– Najnormalniejsza kobieta pod słońcem! – obruszył się Cody. – Zachwycisz się, jak ją zobaczysz... Ale pewno nie zobaczysz – dokończył, kiwając smutno głową. – W poniedziałek rano mamy być w agencji, żeby nam dali właściwych partnerów. Ten ich komputer się zepsuł i źle nas dobrał. Teraz już podobno dobrze funkcjonuje...

– Może jeszcze raz da ci tę samą kobietę...

– Mowy nie ma. Nie znasz jej...

– Ale znam ciebie i wiem, że jej na swój temat nakłamałeś.

Ona mogła zrobić to samo. I dlatego pewno myślisz, że do siebie nie pasujecie. Powiedzcie prawdę komputerowi, a kto wie... Kiedy ona się dowie, że jesteś współwłaścicielem jednego z największych przedsiębiorstw hodowlanych, to nie będzie chciała na nikogo innego patrzeć...

– Tego najbardziej się obawiam – mruknął Cody. – Dajmy temu spokój. Niech komputer przydzieli każdemu z nas kogoś odpowiedniego. Nie warto zawracać sobie głowy i ryzykować...

– Mimo wszystko tym razem powiedz prawdę nowej partnerce. – Ben klepnął brata po plecach. – Chodźmy do domu. Elena miała upiec czekoladowe ciasteczka.

– Idziemy na ciasteczka! – Cody zeskoczył z płotu i poszedł za bratem, przez cały czas myśląc jednak o tym, jak Emily zareagowałyby, gdyby się dowiedziała, że omyłkowo przydzielony jej partner jest bogaty.

Ale się nie dowie.

Emily była w okropnym humorze. Wychodząc za próg po gazetę, uderzyła się w duży palec lewej nogi, a ponadto gazety nie było. Albo jeszcze nie, albo ktoś ją zwędził. Potem przypaliła omlet. Wreszcie otrzymała elektroniczną epistołę od Terry'ego.

No, ale dzień dopiero się zaczął, więc była nadzieja, że wydarzy się także coś miłego. Tymczasem kawa, którą sobie naląła, smakowała jak błoto. Co ona

wpakowała do maszyny razem z kawą? Ziemię z doniczki?

Bardzo dobrze wiedziała, o czym myśli. A właściwie o kim. Oczywiście o Codym. Na szczęście od jutra nie będzie musiała ani o nim myśleć, ani więcej go widzieć. I z radością o nim zapomni.

Laurie upiła łyk kawy i zakrztusiła się. Widząc złe spojrzenie Emily, powiedziała przymilnie:

– Wspaniała kawa.

– Ohydna! – skwitowała Emily.

– Jeśli tak uważasz. – Kot wskoczył jej na kolana i Laurie go pogłaskała. – Żle się czujesz, Emily? – spytała.

– Świetnie się czuję – mruknęła, ale nieprzeparła potrzeba porozmawiania z kimś kazała jej dodać: – Wanda zawiadomiła mnie, że George, ten ich komputer, jest już zreperowany. Mam tam iść jutro, by otrzymać przydział właściwego partnera...

– A ty wolałabyś pozostać przy tym, który jest dla ciebie taki nieodpowiedni – dokończyła Laurie.

– Ach nie, wcale nie! – Emily energicznie potrząsnęła głową, by zaraz potem powiedzieć: – Właściwie to mogłabym, tylko że...

– Tylko że nawypisywałaś w tym swoim kwestionariuszu tyle kłamstw, że boisz się, iż on by ci nie wybaczył, gdybyś się przyznała, o co właściwie ci chodziło.

– No właśnie... Oj, Laurie, dlaczego dałam się Terry'emu na to namówić?!

– Hej, hej, nie kradnij mi tekstu. To ja cię o to pytałam. I obie znamy odpowiedź. Terry wykorzystał twój dobry charakter.

– Gdybym miała dobry charakter i trochę oleju w głowie, to nie wpakowałabym się w taką kabałę.

– Oczywiście, że tak. Z początku to wyglądało na dobry żart. I nie miałaś najmniejszego kłopotu z tą agencją matrymonialną w Dallas.

Przygoda w Dallas była nawet zabawna. Już wtedy chodziło o materiał do artykułu, który Terry przygotowywał na dzień zakochanych, na dzień świętego Walentego. Acz niechętnie, Emily wypełniła kwestionariusz i pozowała do klipu wideo, wygłaszając przygotowany jej tekst: „Cześć! Jestem Emily I szukam kogoś o żywej inteligencji i z dużym poczuciem humoru... ”. Potem, gdy przejrzała klipy kandydatów, przysięgała sobie, że już nigdy więcej na nic podobnego się nie zgodzi. W desperacji wybrała jegomościa, który przedstawił się jako Chad i poszukiwał pięknej kobiety o wielkim poczuciu humoru, łapczywej na interesujące

życie.

Na pierwszej i jedynej randce przekonała się bardzo szybko, że poczucie humoru jej partnera polega na głupim rzeniu, a „kobieta łapczywa na interesujące życie” ma oznaczać taką, która pragnie natychmiast iść z partnerem do łóżka.

Przysięgła sobie, że nigdy więcej nie da się zrobić w podobną sytuację, ale była zmuszona złamać tę przysięgę, gdy Terry, wypominając honorowy dług z przeszłości, skłonił ją do poddania się jeszcze jednemu eksperymentowi, tym razem w biurze matrymonialnym „Żółta Róża” w San Antonio.

Od chwili przekroczenia progu agencji wszystko potoczyło się zupełnie inaczej, niż oczekiwała. A najgorsze, że uwikłała się w znajomość z człowiekiem, który, co tu dużo gadać, wpakował się z butami w jej myśli, a jutro miał otrzymać zupełnie inną partnerkę.

– Ta agencja w Dallas była zupełnie inna – powiedziała do Laurie. – Znalazłam się wtedy w sytuacji bardzo niemiłej. Dobrze w tym wszystkim okazało się to, że nie miałam podstaw do emocjonalnego zaangażowania... Tymczasem tu... ?

– Tymczasem tu masz wspaniałą okazję do zakochania się w tym Codym – przerwała jej Laurie. – Co w tym złego? On wygląda na wspaniałego chłopca.

– Może i wspaniałego dla mnie prawdziwej, ale nie takiej, jaką odmalowałam w kwestionariuszu – przyznała Emily. – Oczywiście zakładając, że ta prawdziwa Emily chciałaby szukać męża. Chwilowo wcale tego nie chcę.

– Wmawiasz sobie, że nie chcesz. Po prostu się boisz.

– Właśnie. A dlaczego miałabym się nie bać? Widziałam, jak moi rodzice wydrapywali sobie oczy. To było jeszcze zanim pojawił się na horyzoncie mężczyzna z forsy i mama...

– Ale Cody nie ma forsy. To tylko zwykły kowboj.

– Mnie pieniądze nie obchodzą, Laurie. Tylko że Cody chce żony, która da mu dużo dzieci i zapewni ciepłe ognisko domowe. Wypowiada się na ten temat bardzo szczerze. Chociaż go lubię... nawet bardzo... nie jestem na coś podobnego gotowa. A on nie akceptuje niczego innego.

– Nie uważasz, że warto spróbować?

– Nie, bo wtedy... bo wtedy musiałabym mu powiedzieć prawdę. Przyznać się, że nakłamałam w kwestionariuszu i że szpicluję dla reportera. Nigdy by mi tego nie wybaczył.

– Może i masz rację. Z drugiej strony, co w tej sytuacji zaszkodzi powiedzieć prawdę i zobaczyć, co z tego wyjdzie.

– Nie, nie mogę. Musiałam przysiąc Terry'emu, że nie pisnę słowa, póki nie

opublikuje swojego artykułu. Nie wiedziałam, dlaczego wszystko ma być w takiej tajemnicy, ale wtedy wydawało mi się to bez znaczenia... Skąd miałam wiedzieć, że spotkam mężczyznę, który... – Nie dokończyła.

– Który zawróci ci w głowie i każe zwątpić w to, co sobie wbiłaś do głowy – dopowiedziała Laurie. – Emily, Emily, nie ma nic zdrożnego w zakochaniu się w Codym!

– Ale jest wiele zdrożnego w kłamaniu mu...

– I wobec tego, co dalej? Co zamierzasz zrobić?

– Pójść jutro do „Żółtej Róży”, dowiedzieć się, kogo mi Wanda wybrała. To znaczy wybrał komputer, pójść z tą osobą na randkę. Jeden jedyny raz! Potem przygotuję opis randki dla Terry'ego, wyślę i chyba przeniosę się na Alaskę, żeby zapomnieć o tym, co się wydarzyło...

– Podobno na Alasce jest masa wolnych mężczyzn. Zastanawiam się, czy nie pojechać z tobą – mruknęła Laurie.

– Skoro jest ich tam tak wielu, wybiorę się gdzieś indziej – odparła Emily. – Chwilowo mam po uszy mężczyzn. Same kłopoty. Poszukam szczęścia gdzieś na odludziu.

– Nawet na odludziu pęta się ich wielu. A w najbardziej odludnych miejscach Dzikiego Zachodu hasały tłumy mężczyzn. I to jakich! Nie nauczyły cię tego westerny? – spytała Laurie.

Wchodząc następnego poranka do lokalu agencji matrymonialnej, Emily miała głowę pełną myśli o westernowych stepach Dzikiego Zachodu i o kowboju Codym hasającym na białym koniu. W poczekalni zastała już Cody'ego. Wyglądał wspaniale, zupełnie nie jak biedny kowboj. Uśmiechnęła się, on uśmiechnął się do niej i podał trzymane w dłoni dwie żółte róże.

– Dziękuję, są śliczne. Jedną powinieneś zatrzymać jednak ty. Masz! – Oddała mu różę.

– Ale to oznacza, że coś nas łączy i że jesteśmy podobni.

– Wcale nie. To taki pożegnalny gest. No bo dziś się żegnamy...

– Być może. Bardzo miło było mi panią poznać, panno Emily Kirkwood! I miłe były spędzone z panią godziny. Jedna uwaga: wszystkie kobiety są zawsze zagadką. W każdym razie dla mnie. Ale ty jesteś nieprzeniknioną tajemnicą. W ogóle ciebie nie rozumiem. Jesteś pełna sprzeczności...

– Ależ skąd! – roześmiała się. – Jestem otwartą księgą.

– Być może, ale napisaną alfabetem, którego nie znam. Pewno hieroglifami.

Może...

– Wanda prosi oboje państwa – przerwała ich interesującą rozmowę Teresa i odłożyła słuchawkę.

Emily nawet nie słyszała, że dzwonił telefon.

Wanda jak zwykle siedziała za swoim potężnych rozmiarów biurkiem. Twarz jej promieniała, jakby spotkało ją wielkie szczęście.

Emily usiadła w tym samym fotelu, który zajmowała poprzednio, żółtą różę położyła sobie na kolanach. Czowała, że ma zimne i lepkie od potu dłonie, serce biło jej znacznie szybciej, niż powinno. W czasie poprzednich wizyt w tym gabinecie nie zaobserwowała u siebie podobnych objawów.

Nie musiała zgadywać, dlaczego teraz tak reaguje. Wiedziała to aż nadto dobrze. Po prostu bała się nadejścia chwili, kiedy los każe jej pożegnać Cody'ego Jamesa. A to musi niestety nastąpić wkrótce.

Cody ofiarował swoją różę Wandzie.

– Ach, dziękuję, dziękuję! Nie zdążyłam dziś uciąć sobie własnej. Bardzo się śpieszyłam, żeby być gotowa na wasze przyjście... No właśnie! Mam dla was wspaniałe nowiny. George wszystko jeszcze raz przeanalizował i mam wielką przyjemność poinformować was, że... – zawiesiła głos i obrzuciła oboje czujnym spojrzeniem – ... nie omylił się. Jesteście jakby stworzeni dla siebie.

Emily miała wrażenie, że opadła jej szczeka. Dłonią sprawdziła bezwiednie, czy ma zamknięte usta. Były zamknięte, ale twarz wyrażała bezgraniczne zdumienie. Zerknęła na Cody'ego. Na jego twarzy też malowało się zaskoczenie.

– Pani chyba żartuje! – wykrzyknęła Emily.

– Nie żartuję. Nie żartowałam, mówiąc wam to poprzednio. Byłam absolutnie tego pewna, ale zażądaliście sprawdzenia, więc sprawdziłam. W „Żółtej Róży” prawie nigdy się nie mylimy. Po prostu jesteście stworzeni dla siebie. Bez najmniejszej wątpliwości.

– Czy mogę zobaczyć wydruki? – Emily wyciągnęła rękę. – W dalszym ciągu uważam, że to absurd. Nie możemy do siebie pasować.

– Wydruki... ? To chyba nie będzie możliwe...

Emily i Cody wymienili krótkie spojrzenia. Cody odprężył się i wydawał się niemal pogodny. Emily natomiast była pewna, że jej twarz stężała.

– A to dlaczego nie możemy obejrzeć wydruków? – spytała ostro.

– Bo... bo... George wszystko mi ładnie wykazał na ekranie, ale kiedy chciałam zrobić wydruk, coś w nim jęknęło, zapiszczało i znowu się popsuł. Ale chyba masz

do mnie zaufanie, drogie dziecko, i wierzysz mi, że komputer potwierdził swoją wcześniejszą opinię? Wierzysz, Emily? – spytała Wanda płaczącym, niemal błagalnym głosem.

Może bała się o swoją pracę w agencji, pomyślała Emily. I nie miała serca powiedzieć na głos, że za grosz nie ufa Wandzie, że jej nie wierzy. I że jej zdaniem komputer nie ma z tym nic wspólnego, a w ogóle jest wątpliwe, czy to prawdziwy komputer, a nie atrapa.

Emily podejrzewała, że Wanda, dla sobie znanych powodów, postanowiła skojarzyć ją z Codym, ubrdawszy sobie, że stanowią doskonale dobraną parę. Być może zasugerowała się urodą obojga.

Kierowana impulsem upuściła swoją żółtą różę, a mówiąc dokładniej, rzuciła ją dyskretnie pod biurko Wandy. Udając zaskoczenie, uklękła, by ją podnieść. W rzeczywistości chodziło jej o sprawdzenie pewnego szczegółu.

Bez trudu stwierdziła, że zajmujący połowę biurka potężnych rozmiarów komputer nie jest w ogóle do niczego podłączony, a wiodące z niego kable, zwisają swobodnie w powietrzu.

Emily podniosła różę i spiorunowała Wandę wzrokiem.

Cody, który dokładnie obserwował manewr Emily, zwrócił się do Wandy:

– A ja zaczynam wierzyć każdemu pani słowu. Słyszałem wiele o humorach różnych komputerów.

– Dziękuję, kochany chłopcze, dziękuję. Szkoda, że Emily mi nie wierzy. Ale myślę, że zgodzi się, by życie nadało bieg sprawie...

– Nie wiem, co to ma znaczyć, ale... – zaczęła Emily.

– To pewno znaczy, że nasza randka w Dniu Dziękczynienia jest aktualna.

– Bo ja wiem...

– Aktualna, aktualna, Emily, drogie dziecko. Nie masz nic do stracenia.

– Jedna ostatnia randka i koniec, kropka. Tylko dlatego, że częściowo obiecałam.

– Domyślam się, że to było uwarunkowane decyzją George'a – wtrąciła Wanda.

– No i, chcesz czy nie chcesz, George to potwierdził. A nawet jeśli mu nie wierzysz, to pozostała sprawa Dnia Dziękczynienia. Tego dnia nikt nie powinien spędzać samotnie. Równie dobrze możesz spędzić go z tym oto Codym.

– A pani?

– Co ja? – spytała Wanda.

– Spędza pani ten dzień sama?

– O nie, mam wiele zaproszeń.



- No, to może przyjmie pani jeszcze jedno. Do mnie. Będzie tam chyba Cody...
- Emily spojrzała z ukosa na Cody'ego, który miał taką minę, jakby przed chwilą zjadł cytrynę.
- Na obiad nie, ale wpadnę na deser. – Na ustach Wandy wykwitł anielski uśmiech.
- Cody o drugiej na obiad, pani Wanda o czwartej na deser – rozstrzygnęła Emily.
- O piątej na deser – poprawił stanowczo Cody. – Ja lubię jeść bardzo powoli.

Emily umiała świetnie gotować. Może dlatego, że jej matka nie umiała wcale, Emily zaparła się, przeczytała bez liku ksiąg kucharskich i nieustannie eksperymentowała z wielkim sukcesem na ojcu, po tym, jak matka ich porzuciła. Lubiła zajęcia kuchenne.

Dlaczego więc była taka zdenerwowana od samego rana w Dniu Dziękczynienia?

Kiedy tuż przed drugą rozległ się dzwonek zapowiadający najprawdopodobniej Cody'ego, w kuchni było już wszystko pod kontrolą, nie potrafiła tylko opanować nerwów.

Otworzyła drzwi i serce mocniej jej zabiło, gdy ujrzała go z tym jego uśmiechem na ustach, z pękiem żółtych róż w jednej dłoni, a butelką szampana w drugiej.

– Wszystkiego najlepszego! – zanucił.

Emily przez długą chwilę bez słowa gapiła się na niego, po raz nie wiadomo który stwierdzając, że jest wspaniałym mężczyzną. Wreszcie się zreflektowała i poprosiła, by wszedł.

Cody wręczył jej róże i szampana, po czym rozejrzał się po mansardowym, z gustem umeblowanym pokoju, i kilka razy pociągnął nosem.

– Ach, jakie cudowne kuchenne zapachy – stwierdził. – Od razu poczułem się głodny.

– Jeszcze mam coś do zrobienia. Chcesz obejrzeć mecz w telewizji, czy wolisz posłuchać muzyki?

– Muzyki! Muzyki! Masz coś Binga Crosby'ego?

– Oczywiście. Wybierz sobie. Wskazała głową półkę, na której stały płyty kompaktowe i stereo.

Poszła do kuchni. Szampana wstawiła do lodówki, róże ułożyła w kryształowym wazonie, po czym zajęła się dokończeniem obiadu. Od czasu do

czasu zerkała za kontuar oddzielający kuchenkę od saloniku i patrzyła na Cody'ego, który siedział w fotelu z przymkniętymi oczami, wsłuchany w piosenkę śpiewaną przez Binga Crosby'ego.

Po pewnym czasie wstał i podszedł do stołu w jadalnej wnęce przy kuchni.

– Widzę, że szykuje się wspaniałe przyjęcie! – powiedział. – I jak ślicznie jest nakryty stół. Wspaniała z ciebie gospodyni!

– To się dopiero okaże. Czy umiesz dzielić indyka?

– Czy ja umiem dzielić indyka! – wykrzyknął.

– Właśnie o to pytam. Odpowiedz!

– Nigdy jeszcze nie próbowałem, ale chyba umiem – odparł z uśmiechem psotnego chłopca.

– No, to zaraz się przekonamy. – Pochyliła się nad piekarnikiem, otworzyła drzwiczki i uzbrojona w rękawice wyciągnęła brytfannę z upieczoną na złocisto indyczką.

Wyraz zachwytu na twarzy Cody'ego był dostateczną nagrodą za wszystkie wysiłki.

Cody nie był wielkim smakoszem, ale odróżniał dobrze upieczonego indyka od źle upieczonego. Ten był wyśmienity, a nadzienie niebiańskie.

– To mój najlepszy w życiu obiad w Dniu Dziękczynienia – stwierdził, ocierając usta po ostatnim kęsie.

– Bardzo się cieszę. Warto gotować dla takiego gościa jak ty – odparła. – Sprawileś mi wielką przyjemność, biorąc kilka dokładek.

– Uwielbiam sprawiać przyjemność. – Uniósł kieliszek i wypił resztę szampana.

Emily poczerwieniała po korzonki włosów.

– Chyba sprzątnę ze stołu przed przyjściem Wandy – powiedziała szybko, chcąc zmienić śliski temat.

– Pomogę ci. – Wstał.

– Jesteś gościem. Siadaj, podam kawę.

– To ja ci podam – odparł.

– Powiedziałam ci, że jesteś gościem i jako taki...

– Ja nie chcę być wszędzie wiecznym gościem – zaprotestował. – Chciałbym być u siebie i przynależeć do... Muszę to poćwiczyć. Teraz jest okazja. Mogę przez chwilę udawać, że w tym domostwie jestem... partnerem.

– Utrudniasz mi moją rolę gospodyni! – odpowiedziała, znowu się czerwieniąc.

Ale nie wstała.

Cody stanął za nią i oparł dłoń o fotel. Spojrzenie obojga spotkało się w wiszącym nad kredensem lustrze naprzeciwko. Bez trudu odczytali swoje myśli. A były identyczne i wyrażały rosnące pragnienie pozostania razem w przyszłości. To nie był obiad pożegnalny, o nie!

Cody odchylił pasmo blond włosów i pocałował Emily w kark. Jęknęła cichutko i pochyliła niżej głowę, jakby prosiła o więcej.

Delikatnymi krótkimi muśnięciami warg Cody dobrnął do muszli jej ucha.

– Jesteś wspaniałą kucharką – wyszeptał. – Ale jesteś też kimś więcej. Dla mnie jesteś chyba... spełnieniem marzeń...

– Cody... ! Przestań, przestań... Nie wolno nam... ! – szeptała.

– Moim zdaniem właśnie wolno. Ty i ja jesteśmy sobie przeznaczeni. Tak powiedział George. Albo dobra wróżka, Wanda. Obróć głowę. Chcę cię pocałować...

– Nie...

– Pocałuj mnie, Emily... – Była to prośba, ale i jakby zniewalający rozkaz.

Obróciła głowę. Miała zamknięte oczy i rozchylone usta. Przywarł do nich wargami, wpił się w nie. Pragnął to uczynić od chwili, gdy mu dziś otworzyła drzwi, tym bardziej teraz, gdy jej twarz wyrażała takie podniecenie i nieomal szczęście. Promieniał jej wzrok, gorzały policzki. Ona na niego czekała z utęsknieniem! To właśnie odczytał w jej twarzy. Zapragnął wziąć ją w ramiona i zanieść do sypialni...

Emily obróciła się i zarzuciła mu rękę na szyję.

Cody sięgnął pod jej sweter i... I nie wiadomo, co by się stało, gdyby nie usłyszeli dzwonka przy drzwiach.

– Wanda! – mruknął ze złością Cody, a zabrzmiało to jak przekleństwo.

– O Boże, co ja teraz zrobię, jak ja wyglądam... ! – Emily poderwała się z fotela i zaczęła wygładzać spódnice, poprawiać sweter i uładzać włosy. Językiem przeciągała po wargach z rozmazaną szminką i... unikała wzroku Cody'ego.

Ponownie zabrzmiał dzwonek. Zaczarowana chwila chyba na zawsze minęła.

Mata Hari wysłała do Skryby kolejny list jeszcze tego samego dnia, w czwartek dwudziestego szóstego listopada, o godzinie dwudziestej drugiej.

List był zatytułowany sucho: „Raport”.

„No więc zrobiłam to, co chciałeś. Mam nadzieję, że będziesz zadowolony. Spędziłam świąteczny dzień w towarzystwie kandydata wybranego mi przez

agencję. Całkowite nieporozumienie, klęska i tak dalej. Nie ma nic do opisywania. Wybacz, Terry, ale naprawdę nie ma. Dla twojej informacji: sławny komputer George, ten w biurze Wandy, nawet nie jest podłączony do źródła zasilania. Podejrzywałam to i sprawdziłam. Tracę tylko czas, a ty tracisz swój, naciskając na mnie, bym nadal robiła to, co jest mi wstrętne. Może już dość tego, co? Daj mi spokój!"

## Rozdział 6

Następnego poranka czekała na Matę Hari odpowiedź Skryby wystukana o godzinie siódmej czternaście rano. Tytuł wywoławczy brzmiał: „Porozmawiajmy poważnie”.

„Droga Emmy, widzę, że coś ci leży na sercu. W przeciwnym wypadku nie rozumiem twoich obiekcji. Ja chcę od ciebie tylko jednej rzeczy: żebyś zrobiła to, co obiecałaś, że zrobisz. Jeśli komputery w agencji są atrapami, to mam wspaniały temat. Opisz wszystko, a także przebieg randki z facetem...”

Emily kilkakrotnie przeczytała bardzo długi list Terry'ego pouczający ją, co i jak ma zrobić. Było jasne, że jej apel nie wzruszył go. Terry domaga się stanowczo spłaty honorowego długu. I co ona ma teraz zrobić?

Zadzwoił telefon i Emily wstrzymała oddech. Poprzedniego wieczoru włączyła automatyczną sekretarkę i teraz po jej własnych nagranych słowach, by po sygnale zostawić wiadomość, rozległ się głos Codye'go:

– Cześć, Emily, kryjesz się po kątach... ? Jesteś tu i słyszysz mnie... ? – Chwilę się wahał i potem zaczął mówić: – Chciałem ci powiedzieć, że spędziłem w twoim towarzystwie najpiękniejszy Dzień Dziękczynienia. Nawet niefortunne pojawienie się Wandy nie popsuło mi doszczętnie humoru, chociaż popsuło wiele. Kiedy się znowu spotkamy? Wymień czas i miejsce, a znajdziesz mnie tam. Pa!

Emily zaczęła normalnie oddychać po słowie „pa”. Nie wolno jej spotykać się więcej z Codym! Wmanewrował ją w sytuację, jakiej nie chciała. Jeszcze nie teraz i przez wiele następnych lat. A może nigdy. Ponownie wzięła do ręki list od Terry'ego. „Droga Emmy, widzę, że coś ci leży na sercu...” Jak ma to wszystko wytłumaczyć Terry'emu?

I nagle uświadomiła sobie, że tylko osobiście. Nie pozostawiając sobie czasu na zmianę decyzji, napełniła kotom miseczki dodatkowymi porcjami i wodą, szybko zapakowała podróżną torbę i pobiegła do samochodu.

Wkrótce znalazła się na autostradzie. Do Dallas było sześć godzin, z powrotem drugie sześć. I czas potrzebny na rozmowę z Terry'm. Mała cena za spokój sumienia.

Pojechała prosto do mieszkania Terry'ego, gdzie niedawno spędziła dwa dni po zlikwidowaniu swego mieszkania i przed wyjazdem do San Antonio. Kuzyn Terry

był jaki był, ale pomagał w potrzebie.

Do jego drzwi zapukała późnym popołudniem. Gdy otworzył, na jego twarzy pojawił się radosny uśmiech.

– Cześć, Emmy! Co za niespodzianka! Wejdz i opowiadaj, co cię tu sprowadza.

Emily już otwierała usta, by wyjaśnić podstawowy powód przyjazdu, kiedy otworzyły się drzwi sypialni i wyszła z nich bardzo ładna kobieta. Brunetka o miłym uśmiechu. Spojrzała na trzymaną przez Emily torbę i przeniosła wzrok na Terry'ego.

– Drań z ciebie, Terry. Ściągasz tu moją zmienniczkę, nim pożegnasz się i zamkniesz za mną drzwi – powiedziała wesoło.

– Ale ja nie jestem... ! – zaczęła Emily zmieszana.

Terry się roześmiał. Wysoki, szczupły, miał wielkie poczucie humoru, a poza tym umiejętność rozbijania ludzi.

– To jest moja kuzynka, Emily. Emily, przedstawiam ci Carmen. Carmen to przyjaciółka. Carmen Rivera.

– Miło mi panią poznać – bąknęła Emily.

– Mnie też – odparła Carmen. – Terry mi o pani opowiadał. Pani jest jego „tajnym agentem”, tak? Zbiera pani materiały do jego wielkiego artykułu na dzień zakochanych?

– Tajnym agentem? Co pani mówi... ! – Emily spojrzała bezradnie na Terry'ego, jakby szukała u niego pomocy.

Terry roześmiał się.

– Takim tycim szpiegiem. Dla dobra sprawy, czyli mojego artykułu – powiedział.

– Tak jak i ja – poinformowała Carmen. – Ubawiłam się niezmiernie. W biurze matrymonialnym dano mi bardzo miłego partnera. Jeśli Terry mnie rzuci, to mam do kogo się zwrócić. – Pogłaskała Terry'ego po policzku.

Emily była zaskoczona, że Terry do swoich niecnych przedsięwzięć dziennikarskich wykorzystuje nawet przyjaciółkę.

Właśnie czule ją pocałował, po czym otworzył drzwi i szerokim gestem zaprosił do wyjścia.

Emily poczuła się zażenowana.

– Niechże pani nie wychodzi z mojego powodu. Powinna była zadzwonić...

– Wychodzę nie z pani powodu. I tak już jestem spóźniona. Możecie sobie z Terryem omawiać do woli swoje sprawy. O rodzinę nie jestem zazdrosna.

Gdy zamknęły się za Carmen drzwi, Terry spytał:

– Co się stało?

– Czy samo moje pojawienie się automatycznie oznacza, że coś się musiało stać? – Odstawiła torbę i zdjęła wierzchnie okrycie, które Terry natychmiast powiesił na wieszaku.

– W tym wypadku tak – odparł. – Wczoraj był Dzień Dziękczynienia. Rodzinne święto. Twój pośpieszny wyjazd z San Antonio oznacza, że coś nie poszło tak, jak powinno.

– Mam nadzieję, że moje pojawienie się nie komplikuje ci życia.

– Ależ skąd! Jesteś zawsze mile widziana. Zostaniesz na noc?

– Jeśli ci nie będę zawadzała...

– Bynajmniej.

– Wyjadę z samego rana.

– Nie ma pośpiechu. – Zaprowadził ją do małego pokoju zapchanego do granic możliwości gazetami, pismami i książkami. Nawet kanapa była nimi zasłana.

Emily odsunęła na bok stos kolorowych tygodników i usiadła. Nie zwlekając, zaczęła mówić:

– Głupio mi wychodzi ta sprawa z agencją matrymonialną... Poznałam tam kilka bardzo miłych osób. Nie chciałabym, aby się dowiedzieli, że ich szpiegowałam w celu zdobycia materiału do publikacji... Dalsza tego typu działalność odpada.

– Po pierwsze, to nie jest żadne szpiegowanie, jak ci to zasugerowała Carmen, bo po niej powtarzasz. Jest to po prostu działanie pod przykrywką. Bardzo stara i szacowna metoda działania dziennikarzy. W ten sposób udało się naprawić wiele zła... Reporterzy często to robią. Właściwie zawsze...

– Ale ja nie jestem reporterką. Gdybyś ty robił to, co mi zleciłeś, a właściwie do czego mnie zmusiłeś, to wszystko byłoby okej.

– Zrobiłaś to dla mnie w Dallas i nie miałaś nic przeciwko temu! – wykrzyknął Terry. – Czym się różni „Żółta Róża” w San Antonio od biura w Dallas?

– Jest duża różnica... – Szukała słów, by móc wyjaśnić sytuację Terry'emu. – Biuro w Dallas było takie jakieś... bezosobowe, obojętne... W każdym razie w moim odczuciu. Nigdy nie miałam wrażenia, że coś tam może kogoś dotknąć, jeśli się nie ułoży... A to biuro w San Antonio ma jakby osobowość, charakter. To nie biuro w gmachu ze szkła i stali, ale adaptowana stara romantyczna wiktoriańska willa... A kobieta, która dla mnie szuka partnera... pani Wanda Roland... sprawia wrażenie czulej babci albo dobrej wróżki... Jest po prostu urocza i niebanalnie

traktuje swoją pracę. Uważa ją za misję...

– No i świetnie. Masz o niej doskonałą opinię, więc to jej w żaden sposób nie może zranić, skoro tak ją opiszę.

– Mam wrażenie, że wcale nie korzysta z komputera, którym tak się chwali i którego ochrzciła imieniem George...

– To jeszcze nic złego. Stale używasz liczby mnogiej, mówiąc o ludziach, których publikacja mogłaby zranić. Kogo, na przykład? Może oprócz czulej babci spotkałaś księcia z bajki, który cię oczarował?

– Może nie tyle księcia z bajki... Ale to nic poważnego. Nie dopuszczę do tego...

– Aaa! Do czegoż to nie zamierzasz dopuścić? Co się tli i grozi większym ogniem?

– Nie ma o czym mówić. Zupełnie do siebie nie pasujemy. Woda i ogień. – Emily westchnęła. – Gdyby Wanda Roland naprawdę posługiwała się komputerem, toby nigdy nie umówiła nas razem i nie zasugerowała randki...

– Czy to ten przystojny facet, o którym wspominałaś na początku?

– Ten sam.

– Zakochałaś się w nim?

– Aż tak, to nie... – Emily miała nadzieję, że nie. – I chyba już go nie spotkam. Ale nie chciałabym, żeby pomyślał, że spędziłam w jego towarzystwie te kilka godzin, szpiegując dla jakiegoś brukowca.

– Tylko nie brukowca! – Terry się nastroszył, ale po chwili oczy rozbliły mu wielkim zainteresowaniem. – Z nim spędziłaś Dzień Dziękczynienia?

– No tak...

– I nie masz zamiaru ponownie go zobaczyć?

– Zdecydowanie nie.

– Wobec tego nie mamy najmniejszego problemu. Opisz mi dokładnie przebieg tej randki, wstaw fałszywe nazwisko, a nawet podaj inne miasto i miejsce spotkania.

– To chyba może być wyjście z sytuacji! Dobry pomysł, Terry! Że też o tym nie pomyślałam. I zupełnie inna agencja, bez żadnej dobrej wróżki. To mi pozwoli uniknąć komplikacji, na wypadek gdybym... – Emily była bardzo podniecona.

– Gdybyś chciała się z tym jegomościem jeszcze spotkać? – zakończył Terry.

– To nie byłoby z mojej strony uczciwe. On szuka czegoś, czego mu dać nie mogę... Ale jest tłum kobiet gotowych na to. Łatwo sobie kogoś znajdzie... – Emily poczuła nagły żal, że tą znaną nie będzie jednak ona.



Emily wróciła do San Antonio w sobotę. Kasetka automatycznej sekretarki była pełna coraz to bardziej niecierpliwych apeli Cody'ego. Ledwo skończyła je przesłuchiwać, kiedy zadzwonił telefon i do włączonej sekretarki popłynęło kolejne wezwanie:

– Niech to wszyscy diabli, Emily... ! Zaczynam poważnie się niepokoić. Albo wyjechałaś, nic mi nie mówiąc, albo jesteś w poważnych kłopotach. Zamierzam zadzwonić na policję...

– Jestem, już jestem! – Emily podniosła słuchawkę. – Po co cały ten rwetes? Od kiedy to mam uzgadniać z tobą moje własne plany życiowe?

– Od chwili upieczenia mi indyka w Dniu Dziękczynienia.

Nie wiesz o tym, że spędzenie tego dnia razem oznacza nowy etap bliższej znajomości, bardziej intymnej?

– Nigdy o czymś podobnym nie słyszałam – odparła już miłszym tonem, chociaż nadal była wściekła na Cody'ego. Właśnie za to, że jest taki czujny, opiekuńczy, uroczy... co utrudnia pożegnanie się z nim raz na zawsze. – Byłam w Dallas, żeby spotkać się z kuzynem...

– A ja tak bardzo się martwiłem. Ani słowem nie wspomniałaś mi o swoim zamiarze... – W głosie Cody'ego czuło się autentyczną ulgę.

– To była nagła decyzja. Przykro mi, że z mojego powodu się niepokoiłeś... Z powodu osoby, którą ledwo znasz.

– Masz rację. I musimy jakoś temu zaradzić. To znaczy musimy poznać się lepiej. Masz czas jutro? Moglibyśmy...

– Stop, stop! Odpowiedź brzmi nie.

– No, to sama wybierz dzień, Emily. Jakikolwiek. Jestem do dyspozycji.

– Nie, Cody. Już nie...

– Dajesz mi kosza? – zapytał po długim milczeniu.

– Nie, Cody. Nie o to chodzi. Bardzo cię lubię. Może nawet za bardzo. Ale nie jestem osobą, jakiej ci potrzeba, a ty nie jesteś mężczyzną dla mnie. Po co mielibyśmy nadal się spotykać?

– Ustalmy parę spraw. Ja szukam żony, z którą będę miał dzieci, ty nie jesteś tym zainteresowana. Ty szukasz faceta z pieniędzmi, więc to jest drugi powód, dla którego nie jesteś zainteresowana. Tak czy inaczej, nie jesteś zainteresowana, tak?

Nie potrafiłaby powiedzieć, że interesuje ją tylko ktoś bogaty, więc milczała.

– Gdybym miał dużo pieniędzy, byłabyś pewno zainteresowana – kontynuował bezlitośnie Cody. – Powiedz, tak czy nie?

– Wierz mi, Cody, że gdybyś był nawet właścicielem rancza, na którym pracujesz, to też nie byłabym bardziej zainteresowana, niż... niż jestem teraz. – W głębi duszy pomyślała sobie, że słowo „zainteresowana” słabo określa uczucie, jakie się w niej rodziło...

– Hmm, muszę to wszystko przemyśleć – odparł Cody.

– Bardzo mi przykro, Cody, ale tak musi pozostać. Nie możemy się dłużej spotykać. I ty, i ja moglibyśmy... bardzo się rozczarować. A nawet wzajemnie siebie zranić.

– Czasami warto zaryzykować – stwierdził. – Zawiadomię cię, kiedy wszystko przemyśle i dojdę do wniosku, czy w tym wypadku ryzyko się opłaca...

– Nie ma się nad czym zastanawiać. Trzeba powiedzieć cześć, żegnam...

– Chwilowo tego jeszcze nie powiem. Dam ci znać... – Odwiesił słuchawkę.

Cody siedział w kuchni, ponuro zadumany nad kubkiem, do którego Elena dołała mu przed chwilą gorącej kawy.

Sprawy wyglądały źle. A spotkanie w Dniu Dziękczynienia było takie obiecujące... Wydawało mu się, że Emily czuje się bardzo dobrze w jego ramionach.

– Czy to z nią przed chwilą rozmawiałeś przez telefon? – spytała Elena. Wszyscy w domu wiedzieli, jak się niepokoił jej nieobecnością.

– Tak. Powiedziała, że odwiedzała kuzyna w Dallas.

– A ty jej nie wierzysz?

– Ależ wierzę. Nie o to chodzi. Ona teraz mi powiedziała, że nie chce więcej spotykać się ze mną... Po tym wszystkim... !

– A było już wszystko? Nic nie wiedziałam. – Elena roześmiała się. – Ale chyba nie powiedziała, że cię nie lubi?

– Jej po prostu nie interesuje małżeństwo. A zwłaszcza małżeństwo z biednym pastuchem.

– Powiedziała ci to?

– Niezupełnie. Ja to powiedziałem, a ona nie zaprzeczyła.

– To chyba załatwia sprawę. Skoro to tego typu kobieta, nie będziesz zaprzętał sobie nią głowy.

– W tym sęk, że ja nie mogę uwierzyć, że ona jest taka. Tak sobie porównuję... Jessika wypowiadała zawsze właściwe słowa, a postępowała odwrotnie, natomiast Emily mówi nie to, czego się człowiek spodziewa, a postępuje inaczej... – Cody uderzył pięścią w stół. – Ale ja się dowiem, jaka ona jest naprawdę.

- Jak się dowiesz, jak ją sprawdzisz? Ona nie chce się z tobą spotkać, a więc...  
?  
– Skłonię ją do jeszcze jednego spotkania. Pożyczysz mi dzieci, Eleno?  
– Moje dzieci? Mam ci pożyczyć moje dzieci?  
– Tak. Chcę zobaczyć, jak Emily zachowuje się w ich towarzystwie...  
– W przyszły piątek możesz je zabrać na świąteczne zakupy. A ja skłonię Bena, żeby mnie zaprosił na romantyczny obiad we dwoje...  
– Załatwione!  
– Ze mną tak, ale nie wiem, czy ci pójdzie równie łatwo z tą twoją Emily – odparła Elena.

Pierwszy tydzień grudnia upływał Emily wyjątkowo wolno i bardzo smutno, mimo że świat dokoła, pełny świątecznych dekoracji, wydawał się wesoły. Wesoła była także Laurie, znalazła bowiem przyjaciela, Teksasńczyka, który pracował w sklepie jubilerskim, a do jej salonu damskiej odzieży trafił w poszukiwaniu jakiegoś prezentu dla siostry. Dopiero potem przyznał się, że nie ma siostry i wszedł tylko dlatego, że chciał poznać Laurie.

Współlokatorka Emily była więc niezwykle podniecona i nieustannie opowiadała o niezliczonych cnotach swego zalotnika.

Emily słuchała wyznań Laurie i robiła się coraz bardziej smutna. Ciężała jej samotność. Umykając od smutku, pogrążyła się w pracy i dlatego siedziała jeszcze w swoim biurze w piątek o szóstej wieczorem, kiedy usłyszała, że ktoś wchodzi. Podniosła głowę i zdębiała. Na progu stał Cody, a tuż za nim dwoje dzieci z figlarnymi uśmiechami na buziach. Emily zdała sobie nagle sprawę, jak bardzo brakowało jej przez te dni właśnie Cody'ego. Wyglądał wspaniale. Przez długą chwilę nie mogła oderwać od niego oczu.

– Jesteś gotowa? – spytał.

– Jest pani gotowa? – spytały dzieci, dziesięcioletnia dziewczynka o ładnej buźce i ciemnych włosach, opadających kaskadą na ramiona spod beretu z czerwonym pomponem, oraz młodszy od niej chłopczyk, siedmio – lub ośmioletni. Chłopczyk nie przestawał się uśmiechać, tak jakby chciał, żeby wszyscy widzieli, że chwilowo brakuje mu dwóch przednich zębów.

Emily pomyślała sobie, że dzieciaki są urocze i obdarzyła je ciepłym uśmiechem. Dopiero po chwili dotarł do niej sens pytania Cody'ego.

– Na co mam być gotowa?

– Na spacer nad rzekę – odparł dziecięcy dwugłós. – Wujek Cody powiedział,

że jeśli pani z nami nie pójdzie, to on nas tam nie zabierze.

– A ja chcę kupić na gwiazdkę prezent tacie. Pociąg – dodał chłopczyk.

Emily zmarszczyła brwi, słysząc słowa „wujek Cody”. Dzieci patrzyły na nią wyczekująco.

– Mówiłem ci, jak pięknie jest na Paseo del Rio, kiedy zapalą się wieczorem światła – powiedział Cody. – A teraz doszły jeszcze dekoracje świąteczne...

– Nic nie mówiłeś o piątku! Mam masę roboty...

– Prosimy, tak bardzo prosimy... ! – zapiszczały dzieci.

Cody uciszył je gestem dłoni.

– Przedstawiam ci... Przepraszam, powinienem był to zrobić, zanim te dzikusy otworzyły dziobki... To jest moja bratanica, Liana, a to bratanek, Jimmy. Dzieci, przedstawiam wam...

– Przecież my wiemy, kim ona jest. To jest twoja Emily... – wyrwała się Liana.

Emily poczerwieniała, Cody nieco się zmieszał.

– To jest Emily, ale dla was pani Kirkwood, rozumiano?

– Ach nie! Jestem Emily i tylko Emily. Miło mi was poznać, Liano, Jimmy! Ale, niestety, nie mogę z wami iść. Robota...

– Wynoś mi się stąd, Emily! Już, jazda! – rozległ się rozbawiony głos Dona, który niepostrzeżenie wszedł do pokoju. Nie zauważyła jego pojawienia się ani Emily, ani jej goście. – Daję ci służbowe polecenie udania się z tą panną i tym młodym dżentelmenem tam, dokąd pragną iść. Jestem Don Phillips – przedstawił się Cody'emu. – Miło mi pana poznać.

– Cody James. To pan jest tym poganiaczem niewolników, który trzyma Emily przykuta do biurka? – spytał Cody.

Don roześmiał się.

– Ona dostała kota. Nawet nie mogę jej płacić za tyle nadgodzin, ile w tym tygodniu uzbierała. Wynoś się stąd, dziewczyno, już! Przez ciebie zaczynam mieć okropną opinię. Słyszałaś, jak ten pan mnie nazwał?

– Ale... No dobrze... – zaczęła się plątać. Była czerwona jak burak.

– Hurra, idziemy na promenadę! – wykrzyknęły radośnie dzieci. – Idziemy po zakupy na promenadę, hurra!

Ja też powinnam zawołać „hurra”, pomyślała Emily. Znowu spędzę kilka godzin w towarzystwie mężczyzny, którego więcej nie chciałam widzieć i w którego obecności serce bije mi jak szalone. Boże, jak mi go brakowało!

Na promenadzie panował świąteczny nastrój. Tłumy ludzi robiły zakupy lub

zapełniały restauracje i kawiarenki. Sklepy były rozjarzone i iluminowane z zewnątrz, panował radosny gwar i wszędzie widać było uśmiechnięte twarze. Nad rzeką paliły się świece w papierowych lampionach.

– To jest również *Fiesta de las Luminarias* – wyjaśnił Cody.

– Ten rząd świec symbolizuje oświetlenie drogi świętej rodzinie zdążającej do Betlejem.

– Jak tu jest pięknie! Jak tu jest pięknie! – powtarzała Emily.

– Jak w bajce.

– Dla mnie też jest jak w bajce – odparł Cody, ujmując ją pod rękę. – Dlatego, że jestem teraz z tobą. Bo cały ten dzień wydawał mi się bardzo ponury...

– Wujku! Jest restauracja, gdzie Jimmy i ja chcemy coś zjeść! – wykrzyknęła Liana. – Mama mi o niej mówiła. Najlepsza teksaska kuchnia. Możemy tam pójść?

– Możemy, Emily? – spytał Cody.

– Już tam idziemy! – Emily wolną ręką ujęła dłoń Liany.

– Prowadź, Liano!

Serce biło jej bardzo mocno. On po mnie przyszedł, pomyślała Emily. Specjalnie po mnie przyszedł. Czy to nie mówiło, że... ? Bała się dokończyć. Zbyt piękne przypuszczenie.

W restauracji Cody bacznie obserwował zachowanie Emily wobec dzieci. Już w połowie tego „egzaminu”, jaki zaaranżował, przestał mieć jakiegokolwiek wątpliwości: ta kobieta lubiła dzieci, czuła się doskonale w ich towarzystwie i umiała dawać sobie z nimi radę. Była cierpliwa i wyrozumiała. Nie okazywała złości wobec humorów Liany ani też nie denerwowała się nieustannymi pytaniami Jimmy'ego. Bawiła się z nimi i śmiała, jakby je znała od dawna.

To był pierwszy egzamin. Teraz czekał ją drugi. Nazwał go próbą zachłanności. Czy rzeczywiście Emily poluje na bogatego amanta?

– A teraz idziemy po zakupy! – wykrzyknęła Liana, gdy wyszli z restauracji. – Muszę kupić prezent mamie. Pomożesz mi wybrać, Emily?

Emily spojrzała pytająco na Cody'ego, który przyzwolił skinieniem głowy.

– Oczywiście, bo ja się nie znam na damskich fatałaszczkach. I wiesz co? Ja zabiorę ze sobą Jimmy'ego po nasze zakupy, a wy, kobiety... – Liana zachichotała. – Idźcie po swoje. Za godzinę spotkamy się w lodziarni.

– Nie wiem, gdzie jest lodziarnia – zaniepokoiła się Emily.

– Ja wiem – powiedziała Liana. – I chodźmy szybko, zanim wujek zmieni zdanie.

Cody długo patrzył za odchodzącymi. Pomyślał sobie, że jeśli Emily zda i ten

egzamin, to się z nią ożeni, choćby miał ją porwać.

Spotkali się po godzinie w lodziarni. Podczas gdy dzieci debatowały nad smakami lodów, Cody sięgnął do kieszeni i wyjął puzderko. Oferując je Emily, powiedział:

– Zobaczyłem w witrynie, pomyślałem o tobie i kupiłem. To gwiazdkowy prezent.

Schowała ręce za siebie i odstąpiła o krok.

– Nie znasz mnie na tyle, by dawać mi prezenty – oświadczyła. – Ani ja nie znam na tyle ciebie, by je przyjmować. A poza tym nie chcę, żebyś wydawał na mnie pieniądze.

– Myślisz o mojej nędznej pensji kowboja? Nie obawiaj się, wiem, na co mogę sobie pozwolić. I kupiłem ci...

– Nie chcę, byś rai cokolwiek kupował. Czułabym się skrepowana przyjmując.

Podszedł Jimmy z lodową kulą na rożku. Zobaczył, że Cody nadal trzyma pudełko w ręku, a Emily kręci głową.

– Nie podoba się jej, wujku Cody? – spytał malec. – Powiedziałem ci, żebyś kupił jej żabę... Kupiłeś żabę?

– Żabę? A więc to jakiś żart. – Wybuchnęła śmiechem, sięgając po puzderko.

– A więc przyjęłabyś żabę od Jimmy'ego, ale nie chcesz tego, co ja ci ofiarowuję.

– Wujku. Zapłać za lody – powiedziała Liana, podchodząc ze swoim rożkiem. Zobaczyła puzderko. – To dla Emily? Otwórz, wujku! Otwórz! – prosiła.

Cody podał puzderko Emily, która przyjęła podarunek z wahaniem. Uchyliła powoli wieczko. Na ciemnym aksamicie leżała złota replika żółtej róży z diamentową łzą na jednym z płatków.

Emily długo wpatrywała się w różę.

– No cóż... – zaczęła powoli. – Nie jest to żaba i nie powinieneś być... ale skoro już kupiłeś... I Jimmy ci doradzał, to chyba przyjmę... Niech to będzie pamiątka po... – Chciała powiedzieć „po miłym śnie”, ale zabrakło jej odwagi.

– Ja ci to przypnę – zaproponowała Liana.

Cody stał ze zmarszczonymi brwiami i zastanawiał się, czy tak ochoce akceptowanie przez Emily prezentu nie oznacza przypadkiem, że jego wybranka fatalnie wyszła w drugim teście...

Piątego grudnia o godzinie dziewiątej rano Skryba otrzymał kolejny list od

Maty Hari. List zaczynał się od hasła „Co za ulga!”

„Przepraszam, że od naszego spotkania w Dallas nie odpowiedziałam na żaden z twoich listów, ale byłam bardzo zajęta. Miałeś dobry pomysł, proponując podstawienie innych imion i nazw. Liczę, że mnie nie zawiedziesz i że z wielką ostrożnością, chroniąc mnie i inne osoby, wykorzystasz załączony materiał. Zależy mi na tym bardzo, ponieważ – pewno cię to zdziwi – nadal widuję osobę, o której wiesz. Otrzymałam od niego gwiazdkowy prezent, broszkę, właściwie szpilkę...”

## Rozdział 7

Skryba odpowiedział Macie Hari dopiero dziewiątego grudnia dość krótkim listem:

„Bardzo się cieszę, że dobrze ci się powiodło z tym facetem. U nas awantura na cztery fajerki. Właśnie wyleciał redaktor naczelny. A poza tym połowa redakcyjnej załogi wybiera się na zimowy urlop. Reszta, między innymi i ja, będzie musiała pracować w dzień i w nocy. Mam już teraz po uszy roboty i ten artykuł na dzień świętego Walentego przestał być najważniejszym punktem programu. PS Życzę dalszego powodzenia z twoim wspaniałym facetem”.

Emily była niespokojna. Cody wdarł się raz jeszcze niespodziewanie w jej życie, przyprowadzając tym razem siostrzenicę i siostrzeńca, a potem... Potem nic. Nie dał znaku życia od chwili, gdy się pożegnali po świątecznych zakupach. I chociaż to Emily nieustannie nalegała przedtem, że nie powinni się więcej widywać, teraz bolało ją to bardzo.

Przez pokój przemknęła Laurie, ale zatrzymała się na chwilę przy drzwiach wyjściowych.

– Jestem już spóźniona. Parker czeka na mnie od dziesięciu minut. Mieliśmy razem zjeść śniadanie...

– Poczeka, poczeka... Zakochani zawsze długo czekają – odparła Emily.

– Mam też zjeść z nim lunch. Przyjdź! Chcę, żebyś go poznała. Chyba że masz lepszą ofertę.

– Nie mam. – Emily westchnęła. – Chętnie go poznam. Gdzie?

– O wpół do pierwszej u mnie w sklepie. Wtedy zdecydujemy, gdzie. I przy okazji zobaczysz nasze nowe swetry.

– Dobrze. O wpół do pierwszej.

Emily została sama. Przypadkowe spojrzenie w lustro naprowadziło jej wzrok na przypiętą do kołnierzyka bluzki złotą różę. Kierowana impulsem, odpięła ją i położyła na stole.

Po co jej ofiarowywał prezent, jeśli nie miał zamiaru więcej się z nią widywać? Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. To nie on, ale ona powinna podjąć taką decyzję. Tylko że ten prezent wywołał lekki zamęt w jej głowie... I dlatego czuła się teraz przygnębiona. Ale nie warto się nad tym zastanawiać. Sprawa jest prosta: Cody chciał po prostu dać jej na pożegnanie jakiś drobiazg. Przecież ona sama



była gotowa się pożegnać...

Zadzwonił telefon i serce zabiło jej żywiej. Podniosła słuchawkę i zgłosiwszy się, czekała z zapartym oddechem.

– Dzień dobry, tu Wanda Roland...

– Dzień dobry. Czym mogę służyć? – spytała dość sucho.

– Chciałam po prostu wiedzieć, jak ci idzie z uroczym Codym Jamesem.

– Nie wiem. Uroczy Cody James od tygodnia nie daje znaku życia.

– O mój Boże, o mój Boże! Pokłóciliście się?

– Nie. Co więcej, kiedy się po raz ostatni widzieliśmy... pożegnaliśmy się zupełnie miło. Pojęcia nie mam, co się z nim dzieje...

– Sprawa poważna, bardzo poważna. Jeśli pożegnaliście się miło, jak mówisz, to musi być jakiś poważny powód, dla którego on nie daje znaku życia. Coś musiało się stać...

– Ja... Bardzo bym chciała wiedzieć, co... Bo gdyby nie chciał po prostu widywać się ze mną, to trudno... Ale gdyby miało mu się coś stać... Bardzo bym się zmartwiła...

– Możesz, dziecko, zadzwonić do Cody'ego i spytać – zaproponowała Wanda Roland.

– Ja nie mogę tego zrobić, ale pani może... – odparła Emily. – Zadzwoniła pani do mnie, więc może pani zadzwonić i do niego... A potem mi powiedziec.

– Nie, drogie dziecko. Niestety, musisz zrobić to sama. Jesteś dorosłą samodzielną kobietą i nie widzę powodu, dla którego nie miałabyś do niego zadzwonić... – W wyniku dalszych argumentów Emily musiała w końcu przyznać jej rację.

Po zakończeniu rozmowy przez kilkanaście minut wpatrywała się tępo w telefon. Zrobić to czy nie? Wreszcie przeważyła ciekawość.

Wykręciła szybko numer i wstrzymała oddech. Odebrała kobieta. Emily poprosiła do telefonu Cody'ego i w napięciu czekała...

Elena zasłoniła dłonią mikrofon i głośno wyszeptała:

– To chyba ona... !

Cody skrzywił się. W ciągu całego tygodnia wiele razy miał ochotę zadzwonić do Emily, ale powstrzymywała go myśl, że przyjmując złotą broszkę, Emily okazała się równie interesowna, jak poprzednia kobieta, którą obdarzył swymi uczuciami.

– Słucham... ! – powiedział ostrożnie.

– Cześć, Cody... Ponieważ nie miałam od ciebie znaku życia, zaczęłam się

zastanawiać, czy wszystko w porządku...

– Oczywiście, dlaczego nie miałyby być?

Chwilę milczała, przetykając ślinę.

– Ot, tak pomyślałam... Bardzo mi było miło poznać Lianę i Jimmy'ego. Pozdrów ich ode mnie...

– Oczywiście. – Z trudem powstrzymywał się, by nie zacząć jej mówić, jak bardzo za nią tęsknił przez cały tydzień.

– No to... W takim razie to chyba wszystko... Chyba że...

– Chyba że co? – Trzeba szybko skończyć. Nie należy przeciągać tej rozmowy, pomyślał.

– Moglibyśmy spotkać się na drinka u Mengera, na przykład w piątek po pracy. Chcesz?

Nie chciał. Bo i po co?

– Z wielką ochotą – odparł. – O której?

– O siódmej?

– O siódmej.

– Do zobaczenia.

Emily odłożyła słuchawkę. Cody trzasnął nią o widełki.

– Ale ją załatwiłeś – skomentowała Elena. – Gdyby ze mną chłop tak rozmawiał, tobym go trzepnęła. I ona chyba zrozumiała, że nie masz wielkiej ochoty jej widzieć.

Cody wiedział, że będzie liczyć minuty do piątku.

Gdy Emily przyszła na umówione spotkanie z Laurie, w sklepie było pełno klientek. Laurie stała za ladą w głębi, pokazując kilka swetrów damie w średnim wieku. Ujrawszy Emily, obdarzyła ją uśmiechem, nie przerywając peanów na temat jakości wełny i delikatności deseni.

Emily skinęła głową i zaczęła wędrowkę wzdłuż wieszaków, oglądając nowe modele bluzek i spódnic.

– Emily, chcę, żebyś poznała Parkera Rice'a – usłyszała za sobą głos Laurie.

Ujrzała chudego młodego człowieka o miłym uśmiechu, w ciemnym garniturze, z okularami w czarnej oprawie na nosie.

– Cieszę się z poznania pana – odparła. – Laurie przez cały czas o panu mówi...

– A mnie opowiada o pani...

– Jesteśmy wieloletnimi przyjaciółkami.

– Więc dokąd idziemy na lunch... ? Na co ty się tak gapisz, Parker? – spytała

Laurie, widząc, że jej towarzysz ma wzrok wlepiony w kołnierzyk bluzki Emily.

– O co pytałaś? Dokąd idziemy? Może być kuchnia meksykańska...  
Przepraszam, zapatrzyłem się w tę broszkę, a raczej szpilkę...

– W moją szpilkę? – zdziwiła się Emily. – To tylko taka... pamiątka... Nic nadzwyczajnego...

– Nic nadzwyczajnego! To chyba z biżuterii Grozina na promenadzie.

– Chyba nie. – Emily się roześmiała. – To nie jest prawdziwa droga biżuteria. Jest to prezent od znajomego i nie mam pojęcia, gdzie to kupić.

– To musiał być bardzo, bardzo dobry znajomy – powiedział Parker, dziwnie się uśmiechając.

– Niby dlaczego? – obruszyła się Emily. – Zwykła szpilka ze sklepu pamiątkarskiego...

– Spory diament. Pierwszej klasy. Znam się na tym. To mój zawód...

– To absolutnie niemożliwe! – wykrzyknęła Emily. – Dostałam to od biednego... Wiem, że osoba, która mi to dała, nie jest zamożna. Nie mogłaby sobie pozwolić na prawdziwy diament... Niech pan się dobrze przyjrzy. – Wyciągnęła szpilkę i podsunęła mu pod sam nos.

Parker z uwagą wziął szpilkę do ręki.

– Diament w dwudziestokaratowym złocie – stwierdził stanowczo. – Kosztowało to około...

– Parker! Nie mów! To był prezent! – szybko zainterweniowała Laurie.

– Przepraszam – odparł Parker. – Niemniej to „około” jest imponujące.

Emily zatrzęsała się z oburzenia. Jakże Cody mógł jej zrobić coś podobnego! Jakże śmiał! Ponieważ w kwestionariuszu biura matrymonialnego wypisała kilka bzdurnych kłamstw, on obdarzył ją drogim prezentem, na który w dodatku go nie stać.

Nic dziwnego, że potem nie zadzwonił. Spodziewał się, że ona natychmiast rzuci mu się w ramiona, a kiedy tego nie uczyniła, nie wiedział, co począć dalej. A ona, jak jakaś idiotka, zadzwoniła i zaprosiła się na drinka...

– Odpowiada ci to, Emily? – usłyszała pytanie Laurie.

– Przepraszam, Laurie. O co chodzi?

– Nieważne. Z twojego wyrazu twarzy wnoszę, że nie obchodzi cię, co będziesz jadła. Idziemy!

Laurie ma zupełną rację, pomyślała Emily. Szpilki nie wpięła z powrotem, ale schowała do torebki, by przy najbliższej okazji móc, dosłownie czy w przenośni, rzucić ją Cody'emu w twarz.

Cody tak bardzo pragnął zobaczyć Emily, że pojawił się u Mengera na pół godziny przed umówionym czasem. Zajął stolik, wziął piwo i zaczął się zastanawiać, co powiedzieć, kiedy ona się pojawi. Był absolutnie przekonany, że jego prezent zmienił zamiary Emily. Inaczej po cóż by do niego zadzwoniła. Nie powinno to być dla niego niespodzianką. Napisała w kwestionariuszu wyraźnie, na kogo liczy. Z drugiej strony miał nadzieję, że skłamała podobnie jak na temat kuchni wegetariańskiej... No i jej stosunek wobec dzieci. Wobec Jimmy'ego i Liany okazała serdeczność...

Gdy Emily weszła do baru, od razu ją zobaczył. Nie uśmiechała się. Nic nie wskazywało na to, że jest zadowolona, widząc go ponownie.

Wstał na powitanie.

– Miło cię widzieć. Właściwie to się za tobą... – Ugryzł się w język. – Cieszę się, że zadzwoniłaś...

– Czyżby?

– Masz mi za złe, że sam nie zadzwoniłem? Zaraz ci to wyjaśnię, ale najpierw coś dla ciebie zamówię. Białe wino?

Skinęła tylko głową i usiadła. Była bardzo poważna. Coś tu nie gra, pomyślał.

– Co u ciebie? Wszystko dobrze? – spytał.

– Doskonale – odparła krótko. Siedziała sztywno wyprostowana.

– Dzieciaki ciągle o tobie mówią. Bardzo cię polubiły...

– Czyżby?

Cody był w kropce. Co się z tą kobietą dzieje?

– A Jimmy nadal się upiera, że powinniśmy byli kupić ci żabę...

– Skoro już wspomniałeś żabę...

– Białe wino dla pani. – Kelner postawił przed nią kieliszek. Podziękowała skinieniem głowy, ale nie zamierzała podnieść kieliszka. Patrzyła tylko ponuro na Cody'ego.

Cody dopił piwo i z hałasem odstawił szklanekę na stolik.

– O co chodzi? – spytał. – Patrzysz na mnie jak grzechotnik. Powiesz mi wreszcie?

– Owszem, powiem. Głowię się przez cały czas, co chciałeś osiągnąć, tak mnie obrażając. – Dotychczas kamienny wyraz jej twarzy ustąpił czemuś bliskiemu rozpaczy.

– O czym ty mówisz? – Był szczerze zdumiony.

Otworzyła torebkę, wyjęła z niej złotą szpilkę i rzuciła ją przed nim na stolik.

– Jak śmiałeś dać mi tak kosztowny prezent? Cody Jamesie, oświadczam ci, że moje oczy nie chcą cię więcej widzieć... !

– Ale kiedy ci dawałem... ?

– Myślałam, że to jest sztuczna biżuteria. Ot, miła pamiątka... Myślałam, że to ekwiwalent tej żaby, o której mówił Jimmy. Gdybym wiedziała, nigdy bym tego od ciebie nie przyjęła...

– Ale przecież napisałaś w kwestionariuszu, że dla ciebie ważne są pieniądze... Użyłaś nawet słów „bogaty kawaler”...

– Bogaty kawaler, to bogaty kawaler. Ale kiedy biedny kowboj...

– Czy ja ci kiedykolwiek powiedziałem, że jestem biednym kowbojem?

– Nie. Ale nie powiedziałeś także, że jesteś bogaty. Gdybyś nawet nim był, to też nie przyjąłabym od ciebie tak drogiego prezentu. To wygląda na próbę... przekupstwa. Kupienia moich uczuć. Ze mną to nie przejdzie. Przykro mi, ale widzę jeszcze wyraźniej niż kiedykolwiek, że tracimy czas spotykając się...

Coś mu tu nie pasowało. Cody przyglądał się Emily przymrużonymi oczami.

– Powiedz mi, kiedy to podjęłaś decyzję... przed telefonem do mnie czy po telefonie?

– Ja... po telefonie... – przyznała się.

– Ty rzeczywiście nic nie wiedziałaś! – wykrzyknął podniecony.

– O czym nie wiedziałam?

– Że to jest złota szpilka z prawdziwym diamentem. Każda łowczyni bogatych kawalerów wiedziałaby od razu... !

– Łowczyni bogatych kawalerów... ! Czy ty znowu... !? – zaczęła z oburzeniem.

Powstrzymał ją gestem dłoni.

– Napisałaś w kwestionariuszu, że chcesz bogatego kawalera, żeby się z nim zabawić. Ja w to nie mogłem uwierzyć. Po co ty właściwie poszłaś do „Żółtej Róży”?

– Nie twój interes! To moja sprawa!

– Nie masz racji. To jest bardzo moja sprawa, Emily.

– Nie mam zamiaru tu siedzieć i być poddawana przesłuchaniu. – Jednakże nie wstała, by odejść.

– Skłamałaś również, pisząc, że nie lubisz dzieci?

– Nie napisałam, że nie lubię dzieci, tylko że ich nie chcę.

– Może w ciągu najbliższych dziewięciu miesięcy, ale w ogóle to chcesz. Widziałem cię z Lianą i Jimmym. Nie jestem ślepy. Nie jesteś też wegetarianką.

Czy cokolwiek, co napisałaś w kwestionariuszu, jest prawdą?

Wstała.

– Przyszłam tu tylko w jednym celu, zwrócić ci szpilkę i prosić, byś nigdy więcej nie zasłaniał mi widoku na świat. Zamierzam iść do „Żółtej Róży” i zażądać zwrotu kaucji. Taka jestem na ciebie wściekła...

– To nie wściekłość, kochanie. To coś innego. Nie wiem, co, ale na pewno nie wściekłość. – Wstał także i pochylił się nad stołem w jej kierunku.

Emily niemal bezwiednie też się pochyliła. Ich twarze zbliżyły się. Były bardzo blisko, prawie się dotykały... W ostatniej chwili wyprostowała się.

– Żegnam, Cody, życzę ci miłego... życia!

Wyszła, a on został pochylony nad stołem, niezdolny się poruszyć, choć największym jego pragnieniem było za nią pobiec, wziąć ją w ramiona i...

W poniedziałek Wanda zadzwoniła do Emily do pracy.

– Czym mogę pani służyć? – zapytała Emily sucho.

– To ja pytam, jak mogłabym ci pomóc, dziecko.

– Nie rozumiem. Nie wiem, o co pani chodzi.

– Ale ja wiem. Wiem wszystko o tobie i Codym...

– A cóż to jest, owo wszystko, które rzekomo pani wie?

– Wiem, że dał ci piękny prezent, a ty go zwróciłaś. Cody miał jak najlepsze intencje. Możesz mi wierzyć...

– Skąd się pani dowiedziała o prezencie?! – Emily niemal wykrzyczała pytanie.

– Cody mi powiedział – odpowiedziała Wanda po długim milczeniu. – Zadzwonił dziś rano i powiedział, że najprawdopodobniej potrzebny jest ci inny partner, bo jego definitywnie odrzuciłaś. Ja mu odparłam, że chyba się myli, że...

– Cody się nie myli – przerwała jej Emily. – Skończyłam z nim. Jeśli mu się wydaje, że można mnie kupić diamentową szpilką...

– A czego innego spodziewałaś się, dziecko, skoro tak nakłamałaś w kwestionariuszu?

– A skąd pani wie, czy nakłamałam, czy nie?

– Ponieważ przejrzałam cię, dziecko. Wiem, jaka jesteś naprawdę. Wcale nie jesteś pazerna na bogatego kawalera. Mój ty Boże, nie dałaś chłopakowi szansy. Powiadasz, że chcesz bogatego, a zakładasz, że on jest biedny. Potem on ci daje drogą szpilkę...

– Którą kupił nie wiadomo za jakie pieniądze! Na pewno na kredyt. Nie chcę, aby jakiś biedak wpadał w długi z mojego powodu.

– To bardzo niegrzecznie tak traktować prezenty dawane w najlepszej intencji – skarciła ją Wanda. – W jak najlepszej intencji, a ty go oskarżasz, że chciał cię kupić. To nie w porządku. Jeszcze ci jedno powiem. George już wyzdrowiał, buszuje po swych komputerowych zakamarkach. Może ci kogoś poszukać.

– Proszę dać sobie z tym spokój. Nie potrzebuję nikogo innego.

– Cody mnie uprzedził, że tak pewno odpowiesz. Powiedział, że jego zdaniem jesteś nadal... jak on to powiedział... zapatrzona w niego. A może powiedział, że zauroczona...

– Nie jestem ani zapatrzona, ani zauroczona żadnym Codym Jamesem! – wybuchnęła Emily.

– Nie krzycz na mnie, dziecko – powiedziała spokojnie Wanda. – Mam na ten temat inne zdanie, profesjonalnie. Jesteś nim zauroczona, ale jeśli chcesz kogoś innego, to proszę bardzo. Raz jeszcze przepuszczę dane przez komputer...

– Niech pani tego nie robi! To strata czasu. – Pani czasu i tego biedaka, na którego bym trafiła, pomyślała.

– Nie chcesz, to nie. – Wanda westchnęła. – Swoim uporem szargasz moją dobrą opinię.

– Niech pani przerzuci winę na George'a – zaproponowała Emily nieco rozbawiona całą rozmową.

– Gdyby jednak George coś znalazł, to cię zawiadomię... – Po kolejnym westchnieniu Wanda Roland odłożyła słuchawkę.

Emily położyła głowę na blacie biurka i w absolutnej bezsilności zaczęła bić pięściami w rozłożone papiery. Nie tak miała się skończyć wizyta w „Żółtej Róży”. Całe życie zniszczone z powodu...

Otworzyły się drzwi gabinetu i pojawiła się w nich głowa kilkunastoletniego chłopaka.

– Panna Emily Kirkwood? – spytał.

– Tak, to ja.

Chłopak wszedł z kwaciarnianym pudłem, przewiązany żółtą wstążką. Położył pudło na biurku, gestem dłoni zbył próbę wręczenia mu napiwku i zniknął.

Oczywiście kwiaty od Cody'ego. Jeśli mu się wydaje, że parę kwiatków cokolwiek zmieni, to się grubo myli. Powinna wyrzucić pudło, nie otwierając go.

Powinna, ale tego nie zrobiła. Wyjęła bukiet cudownie pachnących róż z przyczepionym do nich liścikiem. Liściku też nie powinna czytać. To byłby wielki błąd.

Oczywiście go popełniła.

„Droga Emily, jest mi okropnie przykro. Nie miałem zamiaru urazić cię. Nie przyszło mi nawet do głowy, że tak może się stać. Daj mi jeszcze jedną, jedyną szansę! Cody”.

I było jeszcze postscriptum: „Nie ustąpię, póki nie osiągnę swego, więc oszczędź nam obojgu czasu i smutku i poddaj się od razu”.

Przenigdy! Róże musiała przyjąć, bo przecież nie zostawi biednych kwiatów bez wody, ale spotkać się z Codym? Nie!

Wieczorem w domu otrzymała kolejne pudło z różami. Włożyła je do wody, pokonując przemożną chęć wykręcenia numeru telefonu Cody'ego, by prosić o zaprzestanie tortur.

Laurie postrzegала całą sprawę zupełnie inaczej:

– Jakie to romantyczne! Przestań torturować człowieka!

– Widzę tylko jeden sposób. Zabić go od razu.

– A ja widzę inny: spotkać się z nim. Nie zamydlisz mi oczu. On ci się podoba i jesteś w nim zadurzona.

– Wcale nie! – odparła Emily, ale zabrzmiało to bardzo nieprzekonująco. Sama to wyczuła. Bardzo chciała spotkać się z Codym...

Ale w życiu nie można mieć wszystkiego, czego się chce. Cody stanowił zagrożenie dla jej uporządkowanego życia. I nie wejdzie w jej łaski paroma kwiatkami. No dobrze, wieloma bukietami kwiatów.

Co dzień przez cały tydzień otrzymywała rano w biurze tuzin przepięknych żółtych róż i drugi tuzin wieczorem w domu.

Boże, ileż to go kosztuje? Jeśli wkrótce nie przestanie, to zadłuży się na kilka lat.

W piątek w południe zadzwoniła do Cody'ego z pracy. Odebrała ta sama co poprzednio kobieta.

– Nazywam się Emily Kirkwood. Jestem znajomą...

– Dzień dobry, Emily. Wiem dobrze, kim jesteś. Ja jestem Elena James, szwagierka Cody'ego...

– Wiem, wiem, matka Liany i Jimmy'ego. Poznałam ich. Wspaniałe dzieci... Bardzo je polubiłam.

– Ja też je lubię. – Elena roześmiała się. – Chciałaś pewno rozmawiać z Codym. Niestety, jest teraz na wybiegu. Ale mu powiem, że dzwoniłaś.

– Dziękuję. I proszę przekazać mu wiadomość, żeby przestał przysyłać kwiaty, bo okropnie dużo kosztują i biedak nie tylko wyda wszystko, co zarabia, ale jeszcze się zadłuży...



– Powiadasz, że może się zadłużyć... ? Hmm, no nie wiem... To miły gest z jego strony. Ale mu powiem.

– Przecież te kwiaty kosztują fortunę. Nie stać na to kowboja... !

– Powtórzę mu wszystko...

Ledwo Emily odłożyła słuchawkę, kiedy pojawił się chłopak z pudłem z kwiaciarni.

Cody James to szaleniec. Uroczy szaleniec...

Skryba otrzymał od Maty Hari list zatytułowany: „Oberwiesz za to po uszach”. List był wysłany osiemnastego grudnia wieczorem.

„Bajdurzysz mi o swoich kłopotach! Żebyś ty wiedział, w jakie ja wpadłam. Siedzę w lesie ciętych róż przysyłanych bez ustanku przez kowboja, którego mi przydzielili w agencji matrymonialnej. Facet nie chce przyznać, że jesteśmy z różnej gliny i do siebie nie pasujemy. Ty mnie w to wpakowałeś, Terry, i kiedy cię dopadnę... ”

## Rozdział 8

Skryba odpowiedział Macie Hari już następnego dnia, dziewiętnastego grudnia o świcie. Konkretna godzina wysłania listu: piąta rano.

„Tobie też życzę wszystkiego najlepszego, droga kuzynko. Niech Boże Narodzenie upłynie ci radośnie. Jeszcze nikt nie miał do mnie pretensji o to, że otrzymał zbyt wiele róż nie ode mnie. Podczas kiedy ty wybrzydzasz na swoje emocjonalne życie, ja ciężko pracuję, aby mnie nie wywalili z najlepszej pracy, jaką kiedykolwiek miałem. Wybacz mój brak zrozumienia dla twoich wydumanych kłopotów, ale... ”

– Co ty wyrabiasz? – spytał Ben Cody'ego, który niósł naręczę dżinsowych spodni i koszul. – Wyprowadzasz się?

– Zgadłeś, braciszku.

– Co ci znowu strzeliło do głowy?

– Nie rozumiesz, Ben? Wcześniej czy później będę musiał powiedzieć Emily, gdzie i jak mieszkam. Nie chcę kłamać, więc przeprowadzam się czasowo do domku brygadzysty.

– Myślałem, że zerwaliście...

– Mam zamiar ponownie się z nią spotykać. I kiedy to się stanie, to ją przywiozę na ranczo, oprowadzę dokoła, zobaczę, jak ona zareaguje na ten styl życia. Jeśli mnie spyta, gdzie mieszkam, to pokażę domek brygadzysty...

– Już to mówiłeś. – Ben pokręcił głową. – Nie wiem, jak ci się uda spleść razem prawdę i kłamstwa... Wpadniesz. Gdzie mieszkasz, to drobiazg w porównaniu z wielkim kłamstwem. Że jesteś niby to biedny.

– Niedługo wszystko jej wyznam. Absolutnie wszystko.

– Moim zdaniem to jedyna twoja szansa – ostrzegł Ben.

– Dobrze to wiem. Oboje ocieraliśmy się o rozmaite kłamstwa. Nakłamała ona, nakłamałem ja. Dla obojga nadszedł czas na poprawę.

– Lubisz ją, co? – spytał Ben.

– Jeszcze jak! Chyba ją nawet pokochałem. Teraz chcę wiedzieć, co ona czuje do mnie. Co naprawdę czuje.

Rozległ się dzwonek przy drzwiach.

– O Boże, pewno znowu kwiaty! – jęknęła Laurie. – Nigdy nie sądziłam, że

nadejdzie dzień, kiedy na pewien czas będę miała dość ciętych kwiatów. I wszystkie są żółte! Czuję się zupełnie jak w pogrzebowej kaplicy.

Emily uchyliła drzwi. Twarz, którą zobaczyła, nie należała do chłopaka z kwiaciarni. Zabiło jej serce, cofnęła się o krok.

– Cody! Co ty tu robisz?

– Dostarczam kwiaty. Czy mogę wejść? – Wszedł, nie czekając na przyzwolenie. – Witam panie. I osobno witam ciebie, Emily, witam, Laurie! Wszystko dobrze?

– Nie bardzo – odparła Laurie. – Jestem chora. Od żółtych róż. Żeby chociaż raz białe albo czerwone...

– Zapamiętam to. Ty zdaje się wychodzisz, Laurie?

– Ja? Nie... To znaczy... – Spojrzała na Emily. – Tak, tak, już wychodzę... To znaczy mam dużo roboty... w moim pokoju. – Laurie zakręciła się i zniknęła, zamykając za sobą drzwi.

– Nie upoważniałam cię do przyjścia – odezwała się Emily.

– Zebrałem się na odwagę i przyszedłem – odparł Cody.

– Przyszedłem, żeby raz jeszcze za wszystko cię przeprosić. I jako usprawiedliwienie przypominam, że w kwestionariuszu napisałaś, że szukasz bogatego mężczyzny.

– Jeśli ktoś jeszcze raz wypomni mi ten przekłety kwestionariusz, to... ! – Poczerwieniała.

– Już dobrze, dobrze! Ale przyznasz, że miałem podstawę sądzić, że odpowiedzi są prawdziwe. Co jeszcze mogę powiedzieć lub zrobić, by odzyskać twoją przyjaźń...

– Przyjmuję przeprosiny. Zapomnijmy o tym, co zaszło. A teraz zostaw mnie samą.

– Jeszcze nie.

– Jeszcze nie?

– Muszę zrozumieć, dlaczego tak cię rozwścieczyła ta szpilka z diamentem. Muszę to zrozumieć, bo... Zwykle nie nalegam. Kiedy czegoś nie mogę zrozumieć, to mówię, niech to diabli, i idę dalej. Ale w twoim wypadku, Emily Kirkwood... nie mogę ani odejść, ani pozwolić tobie odejść...

– Cody... – wyszeptwała.

– Muszę wiedzieć, dlaczego, skoro nie jesteś pazerna na pieniądze, wpisałaś taką bzdurę w kwestionariuszu. A w ogóle nie wierzę w istnienie powodów, dla których ty musiałabyś szukać towarzysza w biurze matrymonialnym.

– Zgłosiłam się do „Żółtej Róży”, ponieważ... – Ile i co powinna mu powiedzieć? – To był zakład. Coś w rodzaju zakładu. No wiesz...

– Zakład? Z kim? O co?

– Powiedziałam ci, że nie szukam trwałego związku... Ale z powodu tego zakładu... Musiałam więc wypełnić kwestionariusz, ale nic nie zmuszało mnie do mówienia prawdy... No, bo co za różnica, czy to była przysła... to znaczy zakład, czy rzeczywiście... Tak naprawdę to... – Urwała.

– Mów dalej. Nie zatrzymuj się w połowie drogi. Już dawno powinniśmy odbyć tę rozmowę. A kiedy ty skończysz, ja będę miał ci do powiedzenia to i owo.

Spojrzała zdumiona. Postanowiła jednak nie zastanawiać się w tej chwili nad znaczeniem tej zapowiedzi. Najważniejsze było wybrnięcie z sytuacji, w którą się wplątała. Wzięła głęboki oddech i zaczęła opowieść:

– Moje dzieciństwo zniszczył bardzo bogaty i potężny człowiek. Zwabił moją matkę... Kupił moją matkę... Myślał, że kupi i mnie, ale ja wybrałam ojca. Znienawidziłam tego człowieka. Wiele lat później ja sama zakochałam się w bogaczu... Był przekonany, że zdołał mnie kupić, a kiedy zdał sobie sprawę, że nie, to mnie po prostu rzucił... I dobrze, że tak się skończyło. Przysięgłam sobie wówczas, że nigdy, przenigdy nie zwiążę się z nikim, kto by próbował kupić moje uczucia... Kiedy dałeś mi tę szpilkę, to nawet do głowy mi nie przyszło, że to może być prawdziwy diament. Dlatego ją przyjąłem. Kiedy dowiedziałam się prawdy... – Podniosła głowę i spojrzała przenikliwie na Cody'ego. – Co chciałeś kupić tym prezentem?

– Uśmiech. Zadowolenie. Twoją dobrą opinię.

– Ale tobie nie wolno marnować pieniędzy na coś, co nigdy nie doprowadzi do spełnienia twoich pragnień! I te kwiaty! Wydajesz fortunę na kwiaty!

– To moja fortuna. A wielka czy nikła to obojętne i nie zmienia faktu, że pragnę ją wydać właśnie na ciebie.

– Nie mów tak. To mnie bardzo krępuje...

– Emily, czy nie uważasz, że poświęcasz zbyt wiele wysiłku, by odwracać się do mnie plecami?

– Bo się boję tego, co by się stało, gdybym tego nie robiła. – Mówiąc to, patrzyła prosto w jego piękne niebieskie oczy.

– Czyżby Wanda miała rację, twierdząc, że zostaliśmy dla siebie stworzeni? – spytał cicho z czarującym uśmiechem na twarzy.

– Nie mów tak! Są sprawy, które... Są przeszkody, o których nic nie wiesz...

– Wiem dość, by mówić, co mówię.

– Nie wiesz, nic nie wiesz! – Odstąpiła o krok i zasłoniła się dłonią w obronie przed jakąkolwiek próbą zbliżenia. – Ale ty mi miałeś coś powiedzieć?

– Owszem... Chciałbym, abyśmy zaczęli raz jeszcze od początku. Odprężmy się i zobaczymy, dokąd to nas zaprowadzi...

Emily też bardzo tego pragnęła. Ale wisiał nad nią miecz Damoklesa w postaci przygotowywanego przez Terry'ego artykułu. Skoro jednak Terry obiecał, że zmieni nazwiska... Może nikt się nie dowie i nie domyśli, że brała w tym udział... ?

To prawda, że uczestniczyła w niezbyt uczciwym przedsięwzięciu, ale nauka nie poszła w las. Odtąd będzie posługiwała się prawdą i wyłącznie prawdą... Jeśli tylko dobry Bóg pozwoli jej wywinąć się z tego, co już się stało i nie odstanie... to ona gotowa jest przysiąc, że kłamstwo już nigdy nie przejdzie jej przez usta.

Oczywiście z wyjątkiem codziennych zupełnie niewinnych kłamstewek, które służą do prawienia komplementów ludziom potrzebującym duchowego wsparcia.

Wezbrała w niej fala nadziei i pragnienie sprawdzenia raz na zawsze, czy jej uczucia dla Cody'ego to zauroczenie, czy... prawdziwa miłość.

– Dobrze – powiedziała. – Jeśli jesteś pewien, że...

– Jeszcze nigdy w życiu nie byłem niczego tak pewien – odparł i porwał ją w ramiona. – I teraz chcę spędzić dzień z tobą, aby ci pokazać, kim jestem. To lepsze niż opowiadanie o sobie...

– Dobrze... – powtórzyła.

Cody złożył na ustach Emily delikatny pocałunek.

– To tylko zapowiedź tego, co cię czeka przez całe życie – powiedział.

Ten grudniowy dzień był naprawdę piękny. Wyjechali z San Antonio na północ szosą numer szesnaście.

Emily od wielu dni nie czuła się tak wspaniale. Nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zniknęły wszystkie bariery, jakie istniały między nią a Codym. Właściwie wyjawiała mu wszystkie sekrety swego życia. Wszystkie, z wyjątkiem jednego. A ten ostatni wkrótce stanie się nieistotny. Była tego pewna. Ale to i tak dotyczyło przyszłości. Dziś to dziś. Wspaniały, cudowny, bezchmurny dzień.

– Ile kilometrów do rancza? – spytała.

– Sto dwadzieścia dwa z San Antonio. Znasz te okolice?

– Nie. Ale wiem, że nazywają je światem kowboi.

– Nie bez powodu. Same rancza. Prawdziwe hodowlane i takie fałszywki dla turystów, w rzeczywistości pensjonaty z kowbojskimi rekwizytami i kilkoma

sztukami bydła.

– Do jakiej kategorii należy ranczo, na którym pracujesz?

– Raczej do hodowlanych, co nie oznacza, że nie przyjmujemy chętnych z miasta. Ale tylko na tak zwane robocze wakacje. Dziwi mnie, że są ludzie gotowi zapłacić za to, że będą wyganiać bydło na pastwisko, połykając przy tym tumany kurzu i pocąc się. A potem opowiadają wszystkim, jak to doskonale się bawili. Dla mnie to tylko ciężka praca.

Dotychczas Emily spotykała się z Codym tylko w mieście. Cieszyło ją, że zobaczy go wreszcie w jego własnym świecie. I ciekawiło, jaki będzie.

– Na tym ranczu... „Latające J”, tak? Śmieszna nazwa. Czy na tym ranczu jest dużo krów?

– Bardzo dużo. I buffalo.

– Buffalo?

– To amerykańskie bizony. Ale nikt ich tak nie nazywa. Mięso równie smaczne jak wołowina.

– Jeszcze nigdy nie widziałam prawdziwego buffalo. To znaczy żywego...

– Dziś wreszcie zobaczysz. Zobaczysz wiele ciekawych rzeczy. Mam nadzieję, że ci się spodobają. To jest moje życie. Przyjazdy do San Antonio to tylko sporadyczne wypadki. Ranczo to mój świat. Nie potrafiłbym istnieć w mieście.

– Jestem miejską dziewczyną – przyznała. – Nie z wyboru. Tak chciał los. Ale będę oglądała ranczo bez uprzedzeń.

– To dobrze. Nigdy do niczego się nie uprzedzaj. Nawet do bogaczy. Patrz, sarna!

Przemknął jej przed oczami biały ogonek sarny umykającej między drzewa.

W przyjemnym i pełnym miłych myśli milczeniu wjechali w teksaską górzystą krainę.

Drogę na ranczo zamykała wysoka żelazna brama z uskrzydloną literą J. Cody wyskoczył z furgonetki i wystukał kod. Brama się otworzyła i po chwili ruszyli wzdłuż wielkich sztydów, które kolejno obwieszczały członkostwo w Teksaskim i Południowozachodnim Stowarzyszeniu Hodowców Bydła, w Teksaskim Stowarzyszeniu Hodowców Longhornów oraz w Towarzystwie Hodowli Koni.

Emily miała wrażenie, że wjeżdża do zupełnie innego świata. Cieszyła się, że ma przy sobie Cody'ego, wspaniałego przewodnika. Zrozumiała też szybko znaczenie żelaznej bramy i wysokiego ogrodzenia, gdyż po obu stronach szutrowej drogi pasły się zwierzęta hodowlane, a nawet pojawiały od czasu do czasu dziki

leśne.

– A to są longhorny – wyjaśnił Cody, wskazując wielkie sztuki o wygiętych potężnych rogach.

– Jaka z nich korzyść?

– Bardzo duża. Pozwalamy turystom zaganiać je do woli. Producenci filmowi i telewizyjni wypożyczają je do swoich filmów. I do filmów reklamowych. Longhorny są doskonałymi aktorami. Wspaniale wzbijają kurz, kiedy pędzą całym stadem. Od czasu do czasu organizuje się też aukcje. Kupują je inni hodowcy do tych samych celów.

– A ja myślałam, że bydło hoduje się tylko na mięso.

– Mięso longhornów jest twarde. Jadalne i nawet smaczne, ale wymaga wiele zachodu, nim się je zmiękczy.

Tuman pyłu z przodu zapowiadał zbliżający się pojazd. Cody zjechał na prawo i po chwili przemknęła obok granatowa zapyłona furgonetka.

– To nasza ekipa remontowa – wyjaśnił Cody. – Na tak dużym ranczu zawsze jest dla nich robota.

Minęli drewniany drogowskaz ze słowem „Lotnisko”.

– To jakiś żart? – spytała Emily.

– To nie jest żart, choć lotnisko jest malutkie. Niewielkie pole startowe. Nie ma się czym podniecać.

– Właściciele tego rancza muszą mieć sporo pieniędzy – zauważyła. – I to chyba są dobrzy ludzie, skoro potrafią zatrzymać na dłużej takich pracowników jak ty.

– A skąd ty wiesz, jakim jestem pracownikiem? – Roześmiał się. – Niemniej przekażę, gdzie trzeba, twoją łaskawą opinię. A tam widzisz domki, w których mieszkają turyści i odwiedzający ranczo goście. Ta chata z belek to moja kryjówka. Tam właśnie teraz mieszkam...

– Co ty mówisz? – Obróciła się, by lepiej zobaczyć niewielki, ale uroczy domek, nad którym rozpostarł konary wielki dąb.

– Chcesz obejrzeć wewnątrz?

Bardzo chciała, ale jej chęci ostudził przeszywający ją niebezpieczny dreszczyk.

– Może później – odparła, udając obojętność.

– Dobrze, później. Teraz czas na lunch w stołówce, gdzie jadają kowboje, goście i wszyscy inni, którzy przywędrowali na ranczo. A potem pokażę ci Nickela. Nickel to osierocone buffalo, które wychowało się na ranczu i niezbyt

dobrze wie, kim jest. Czasami myśli, że jest salonowym pieskiem i chce wskoczyć do samochodu na kolana kierowcy.

Cody zatrzymał furgonetkę na wyźwirowanym parkingu przed obwieszonym rogami drewnianym długim budynkiem, na którym wisiał szyld „Wóz jadalny”.

– Myślałam, że wóz jadalny, to coś w rodzaju przyczepy kempingowej.

– Ten wóz jest nieco większy i jest bez kół. Uważaj teraz: wszyscy, których tu spotkasz, będą cię pożerali wzrokiem. Dasz radę to wytrzymać?

– To oni o mnie wiedzą? – spytała zaskoczona. – Co oni o mnie wiedzą?

– Wiedzą, że gdyby chcieli dotknąć cię choćby palcem lub słowem, to dałbym im popalić. – Wysiedli z wozu i podeszli do drzwi. – Wcześniej czy później musisz ich poznać. Ja stawiałem czoło twojej współlokatorce i przeżyłem. Przeżyjesz i ty.

Tuż za progiem natknęli się na kowboja, który wychodził.

– Cześć, Cody – powiedział, przyglądając się Emily. – Znajoma?

– Znajoma – odparł Cody nie speszony. – Emily Kirkwood z San Antonio. Emily, to jest Jim Travers.

Cody nie chciał, aby jego sekret wyszedł na jaw. Na szczęście nie musiał się niczego obawiać ze strony napotkanych pracowników. Na ranchu panowała dobra atmosfera i doskonały obyczaj, że przy robocie nie było żadnych różnic między pracodawcami a pracownikami. Ani w ubiorze, ani też we wzajemnych stosunkach. Emily nie powinna się niczego domyślić. Niemniej lepiej było uważać i trzymać wszystkich z daleka.

– Miło mi panią poznać! – powiedział Jim Travers, zdejmując kapelusz, co też uczynili pozostali trzej kowboje w stołówce, siedzący dotąd w nakryciach głowy. Oni też nie ukrywali wielkiego zaciekawienia.

Cody poprowadził Emily do bufetu podobnego do kontuaru samoobsługowych kafeterii w mieście. Za ladą stała kucharka, Maude Harper i trzy młode pomocnice. Lada zastawiona była półmiskami z wołowiną z rusztu, gotowanym zielonym grochem, drobno krajaną kapustą w śmietanie, koszykami z chlebem i dzbanami mrożonej herbaty.

Gdy nieśli swoje tacki do jednego z drewnianych stołów pokrytych winylowymi obrusami, w jadalni nie było już nikogo.

– Wspaniale! – powiedziała Emily po przełknięciu pierwszych paru kęsów rozplywającego się w ustach rostbefu.

– Dość dziwne stwierdzenie z ust wegetarianki – zauważył z uśmiechem Cody.

– Przepraszam, bardzo przepraszam, to nie był przytyk...



– Od wczoraj już nie jestem wegetarianką – oświadczyła wesoło. – Świetne macie tu jedzenie... Wiesz co? – dodała po chwili. – Wszystko byłoby znacznie łatwiejsze, gdybyśmy poznali się w innych okolicznościach. Na przykład, gdybyś ty przyszedł przypadkowo do mojego biura. Do A&B. Bo na przykład miałbyś ochotę coś zbudować... Albo gdybym ja tu przyjechała autobusem wycieczkowym, chcąc przeżyć wielką przygodę na Dzikim Zachodzie... Bo tak jak jest, to wiemy o sobie jednocześnie za dużo i za mało...

– Zgadzam się z tobą całkowicie, tylko że los mógłby nas nigdy nie zetknąć.

Patrzyli sobie prosto w oczy.

– Owszem, spotkalibyśmy się, gdybyśmy byli sobie przeznaczeni – odparła bardzo cicho i zaczerwieniła się.

– W takim razie na pewno byśmy się spotkali, bo...

– Myślałam, że już nigdy tu nie dojedziesz – przerwał mu głos szwagierki. – Cześć, jestem Elena James, ulubiona bratowa Cody'ego.

– Nie mam wyboru. Nie mam innej bratowej – wtrącił Cody.

– My się już właściwie znamy – powiedziała Elena do Emily. – Rozmawialiśmy przecież przez telefon... Zresztą wszystko o pani wiem od Cody'ego. I od dzieci. Bardzo panią polubiły. To dobrze wróży.

– Wróży?

– Na przyszłość. Oo, o wilku mowa... ! Co wy tu robicie?

– Chcieliśmy przywitać się z Emily – odparła Liana, podchodząc wraz z Jimmym.

– Emily też was chce widzieć. Siadajcie. – Emily poklepała ławkę obok siebie.

– Będą wam przeszkadzać! – zaoponowała Elena. – Chcecie pewno sobie pogruchać... Cody?

Co biedny Cody miał odpowiedzieć? Spojrzał na rozbawioną Emily i machnął ręką.

To nie był koniec. Wszedł Ben. Cała rodzina!

Ben wcisnął się na ławkę między żonę i dzieci i wyciągnął do Emily dłoń.

– Ja też chcę panią koniecznie poznać od chwili, kiedy się dowiedziałem, że ten pani wegetarianizm to lipa. Nie lubię wegetarianów, bo mi chleb odbierają.

Emily była tym wszystkim bardzo zaskoczona, ale wesoło się roześmiała.

– Bardzo was proszę – powiedziała – jestem Emily, a nie żadna tam pani. Może też być Emmy. Tak mówił do mnie ojciec.

Cody był wściekły z powodu pojawienia się całej rodziny i modlił się, by umknąć z Emily, nim ktoś powie coś takiego, że Emily zorientuje się

przedwcześnie, że przywiózł ją tu nie pracujący na ranchu kowboj, ale współwłaściciel wielkiego majątku.

Emily nie mogła zrozumieć, dlaczego Cody stał się nagle taki nerwowy i małomówny. Kładła to jednak na karb skrepowania kowboja, który być może nie powinien nikogo tu zapraszać w dniu pracy. Poza tym była zbyt zainteresowana rodziną Cody'ego, by zwracać większą uwagę na jego zachowanie.

Poruszył ją i zachwycił wzajemny stosunek Bena i Eleny. Ci dwoje naprawdę się kochali. Gdyby sądziła, że takie małżeństwo jest możliwe... A może jest... ? Cody to przecież rodzony brat Bena.

Skarciła się za te myśli. Cody może i szukał żony, ale ona na pewno nie szukała męża. Może któregoś dnia... No dobrze, ale owego któregoś dnia nie będzie już Cody'ego. Cody chciał tego samego, co zdobył jego brat. I chciał tego teraz, zaraz... Chyba nie mogłaby mu tego dać, nawet gdyby bardzo się starała...

Cody odsunął od siebie pusty talerz.

– Bardzo was przepraszam, moi drodzy, ale ja i Emily mamy wiele do obejrzenia...

– Chodźcie, dzieci, zostawcie wujka i jego gościa w spokoju. Liana początkowo chciała towarzyszyć Cody'emu i Emily przy zwiedzaniu rancha, ale ustąpiła zgromiona przez ojca i uspokojona przez Emily obietnicą, że wkrótce się znowu spotkają. I wszystko zakończyłoby się dobrze, gdyby Liana po chwili zadumania nie spytała Emily:

– A nie mogłabyś wyjść za wujka i zamieszkać z nami na ranchu?

Zapanowała głucha cisza, którą przerwał Cody oświadczeniem, że dziwne rzeczy mają miejsce na tym świecie. Bardzo dziwne. Liana przyjęła to jako potwierdzenie jej propozycji i podskakując z radością, zaczęła klaskać.

A kiedy wreszcie Emily została sama z Codym, pomyślała sobie, że to mogłoby być cudowne... mieć takiego kowboja jako męża...

Wspaniały był to dzień. Cody objechał z nią olbrzymie połacie rancha, pokazał zabudowania, zbiorniki wodne i pastwiska, stada bydła, rogate longhorny i nieruchliwe buffalo. Emily poznała oczywiście zachwalanego jej przedtem Nickela, który zgodnie z zapowiedzią usiłował daremnie wskoczyć do furgonetki.

Cody odwiózł ją do San Antonio wieczorem i przed pożegnaniem zapowiedział następne pojawienie się, jak tylko będzie mógł najszybciej.

Wchodząc do swego mieszkania, Emily stąpała po złocistych chmurach, a

świat wydawał się jej nieskończenie piękny.

W niedzielę przed południem Mata Hari wysłała do Skryby list zatytułowany „Spacer w chmurach”.

„Wczorajsza sobota była najcudowniejszym dniem w moim życiu. Widziałam buffalo i wydaje mi się, że jestem zakochana. To jest fantastyczny facet. Ten sam, o którym wspomniałam na samym początku. Życzę ci, abyś był kiedyś tak szczęśliwy, jak ja jestem teraz. Zawdzięczam to po części tobie. Gdybyś mnie nie zmusił do szpiegowania i zbierania materiałów, nigdy bym go nie poznała...”

## Rozdział 9

W poniedziałek wieczorem, zaniepokojona brakiem odpowiedzi Skryby, Mata Hari wysłała pocztą elektroniczną kolejny list. Tytuł brzmiał: „Gdzie do diabła jesteś?”.

„Hej, Terry! Co się dzieje? Otrzymałeś wczorajszy list? Pisałam go bardzo podniecona. Wiem, że jesteś okropnie zajęty i tak dalej, ale odpowiedz. Przepraszam, że nie spytałam, jak ci idzie... ”

We wtorek dwudziestego drugiego grudnia, o godzinie szóstej czterdzieści po południu, Mata Hari wystukała trzeci list do Skryby. Jego tytuł brzmiał: „Niespokojna”.

„Czy wszystko w porządku, Terry? Dzwoniłam dziś do twojej redakcji, jakaś kobieta powiedziała mi, że wykonujesz specjalne zlecenie poza miastem. Wiem jednak, że zawsze masz ze sobą swój laptop i pocztę elektroniczną otrzymujesz. Będę poważnie zaniepokojona, jeśli do Bożego Narodzenia nie dasz znaku życia... A przy okazji: Wigilię spędzam z... domyślasz się chyba z kim. Wspaniały facet... !”

Po jedenastej wieczorem dwudziestego drugiego grudnia Mata Hari otrzymała wreszcie odpowiedź od Skryby. Nie rozumiała, dlaczego zatytułował ją: „Ple, ple, ple”.

„Wytropiłaś mnie. Jestem w Corpus Christi. Wykonuję specjalne zlecenie, a to należy rozumieć tak, że mnie jeszcze nie wylali z pracy. Jeszcze nie! Nowy redaktor naczelny rymuje się doskonale ze słowami: świński ryj bezczelny. Nikt nie wie, czego on właściwie chce. Cieszę się, że prowadzisz ożywione życie miłosne i że przynajmniej jedno z nas jest w pełni szczęśliwe. Wreszcie mogę przestać mieć wyrzuty sumienia, że cię wykorzystałem do brudnej roboty... ”

W czwartek dwudziestego czwartego grudnia Emily pracowała tylko do południa. Kiedy tuż przed szóstą przyszedł Cody, od kilku godzin była już w domu. Wprost rzuciła mu się w ramiona. Objął ją i pocałował. Oddał mu pocałunek z procentem. Była szczęśliwa.

Ich stosunek uległ radykalnej zmianie od dnia wizyty na ranczu. Zniknęły wszystkie bariery, które Emily tak pieczołowicie przedtem wznosiła.

– Jest Laurie? – spytał Cody po gorącym powitaniu.

– Nie ma. Rano wyjechała do Dallas. Zostaliśmy... sami.

Jeszcze mocniej przygarnął ją do siebie i zatopił twarz w jej włosach.

– Co za pokusa! Czy ja to wytrzymam?

– Mam do ciebie pełne zaufanie – odparła, całując go w policzek.

– Nie powinnaś. Ja sam nie mam do siebie zaufania. Ślicznie wszystko przygotowałaś... – Rozejrzył się po saloniku, w którym stała ustrojona choinka. Na ścianach wisiały dodatkowo świerkowe girlandy z czerwonymi bombkami.

Emily przygryzła wargę. Sytuacja była skomplikowana, wieczór zapowiadał się w pewnym sensie trudny. No, bo Cody przyjechał z tak daleka tylko na kilka godzin? I ma wracać do domu w noc wigilijną?

– Zdejm płaszcz, ja wyjmę szampana i kieliszki. Są czipsy i do nich ostry sos, a potem usmażę steki...

– Nie chcę żadnych steków. Chcę tylko ciebie, Emily. – Trzymał ją mocno w ramionach i nie miał zamiaru puścić. – Zapraǳiałem cię od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem w „Żółtej Róży”.

Poczuła szum w głowie i ugięły się pod nią kolana. Serce waliło jak szalone, krew pulsowała w skroniach.

– Cody, ja... Nie musisz mi mówić o pokusie... Wiem o niej nie mniej od ciebie...

Porwał ją na ręce i ruszył w kierunku sypialni. Na progu zatrzymał się, a wzrok jego zadawał pytanie.

– Tak, Cody, tak... – wyszeptała drżącymi ustami.

– Jesteś pewna? Nie będziesz potem żałowała? – zapytał. Oddech miał przyśpieszony.

– Nigdy tego nie pożałuję. – Palcami musnęła jego policzek i wargi. Nigdy jeszcze nie była niczego tak pewna.

Była w pełni przekonana, że całym sercem kocha tego mężczyznę, chociaż myśl o małżeństwie nadal budziła w niej lęki.

Zaniósł ją do sypialni i delikatnie położył na łóżku.

A kiedy potem się kochali, nie miała już żadnych wątpliwości, że Cody na zawsze pozostanie partnerem jej życia.

Zadzwonił telefon. Emily usłyszała go w półśnie. Cody, jakby w obawie, że ona odejdzie, przytulił ją mocniej do siebie.

– Może odbiorę – wymamrotał.

– Ani mi się waż!

– A kto będzie wiedział, że odbieram z twego łóżka?

– Wolę nie ryzykować. – Ujęła słuchawkę tuż przed włączeniem się automatycznej sekretarki.

– Słucham? – Chyba po minucie zasłoniła mikrofon dłonią i poinformowała Cody'ego: – To Wanda. Mówi, że George jest gotów do ponownej analizy moich danych, żeby mi przydzielić nowego partnera...

– Powiedz jej, żeby go sobie sama wzięła – mruknął Cody bardzo rozbawiony i zaczął głaskać udo Emily.

– Przepraszam panią za sprawiony jej kłopot, ale widzi pani... – Chwilę słuchała. – Cody? Tak, widzujemy się, tak... Tego nie powiedziałam. Ot, po prostu spotykamy się, to wszystko.

– To wszystko?! – wykrzyknął Cody.

Emily w panice uciszyła go gestem ręki. Długo słuchała, a potem szybko, chcąc już zakończyć rozmowę, poinformowała Wandę Roland:

– Już dobrze, dobrze, przyznaję się. Ja i Cody jesteśmy stworzeni dla siebie. Gratulacje dla George'a... I pani też życzę miłych świąt. – Odłożyła słuchawkę. – Jak Wanda to robi? Zawsze wszystko wywacha.

– Nie mam ochoty mówić o Wandzie – mruknął Cody i przyciągnął ją ku sobie.

– Ja też nie.

– Mam ważniejsze sprawy na głowie. Na przykład bożonarodzeniowy prezent dla ciebie...

– Przecież to ty jesteś tym prezentem, Cody!

Roześmieli się oboje.

– Ja mówię poważnie.

– Boże drogi, znowu zrobiłeś jakieś głupstwo! Poszedłeś i wydałeś masę pieniędzy, których nie masz! – Patrzyła na Cody'ego z wyrzutem.

– Niech to wszyscy diabli, kobieto! Nie jestem biedakiem. Założyła ręce pod głowę, unosząc oczy ku niebu.

– Jeśli uważasz, że to jest właściwy czas na sprzeczkę...

– Nie. Ale jest to najlepszy czas, żebym ci wręczył to... – Sięgnął do leżącej na ziemi obok łóżka koszuli i wyjął z jej kieszonki puzderko, które bez słowa podał Emily.

– Co to jest? Żaba? – spytała z rozbawieniem.

– Otwórz i zobacz.

– Czy to coś drogiego?

– Przestańże nudzić, Emily! To jest najtańszy, jaki mogłem znaleźć, pierścionek zaręczynowy. Nawet bez brylantu z prawdziwego zdarzenia, tylko dwa okruchy. Ale podobał mi się. Jeśli będziesz chciała coś lepszego, to ci kupię. Pomyślałem sobie jednak, że skoro jesteś... – Przerwał, widząc jej wyraz twarzy. – O co znowu chodzi? Nie podoba ci się?

– Powiedziałeś pierścionek zaręczynowy, ale przecież my nie jesteśmy zaręczeni...

– Miałem to załatwić przed wręczeniem ci prezentu, ale kiedy robiłem plany, nie wiedziałem, że Wigilię spędzimy w łóżku. Jednak Święty Mikołaj był dla mnie w tym roku wyjątkowo miły...

Emily niespodziewanie zaczęła chichotać.

– Cody, Cody, przecież wiesz, że ja nie chcę wychodzić za mąż...

– Ale ja chcę się ożenić.

– Do ożenku potrzeba stu procent głosów. Nie wystarczy pięćdziesiąt.

– Wiem o tym i mam zamiar jakoś zdobyć twoje poparcie.

– Jeśli tak bardzo potrzebna jest ci żona i tylko żona, to gwizdnij, a zleci się cała gromada kandydatek.

– Mnie nie potrzeba gromady kandydatek. Mam ciebie i chcę tylko ciebie.

– Dlaczego tak ci zależy na małżeństwie?

– Na małżeństwie z tobą. Bo cię kocham. Naprawdę. I wydaje mi się, że ty kochasz mnie. Kochasz, powiedz?

– Tak – wypowiedziała ledwo słyszalnym szeptem i odwróciła głowę.

– Wobec tego wyjdiesz za mnie!

– Nie. – Wyrwała się i wstała z łóżka.

Patrzył za smukłą sylwetką Emily, idącą szybkim krokiem do łazienki. I niczego nie rozumiał.

Emily, otulona puchatym różowym szlafrocikiem, wyglądała przez okno na rozświetlone girlandami świątecznych lampek budzące się miasto. Obróciła się, słysząc za sobą kroki Cody'ego. Był tylko w dżinsach i niósł dwa kieliszki szampana. Na twarzy miał niepewny uśmiech.

– Bardzo cię przepraszam – powiedziała cicho, biorąc kieliszek.

– Nie zmienisz decyzji? – spytał.

– Nie. Ale nie wydajesz się tym specjalnie poruszony.

– Nie. Bo wiem, że decyzję zmienisz.

– Ooo! A skąd ta pewność?

– Bo Wanda i George mieli rację. Sama to przyznałaś. Jesteśmy stworzeni dla siebie. Sobie przeznaczeni. Dlaczego nie chcesz uznać oczywistego faktu?

– Ponieważ... boję się...

– Dziecinko... ! – Przygarnął ją do siebie. – Czego się boisz?

– Wszystkiego. Ciebie. Samej siebie. Przyszłości...

– Boisz się kochać mnie?

– O nie, tego nie! Tego już nie... ! Boję się dożywotniego zobowiązania.

– Sądzisz, że możesz spotkać kogoś, kogo pokochasz bardziej ode mnie?

– W najgorszym śnie nie mogłabym sobie czegoś podobnego wyobrazić. – Sztucznie się roześmiała.

– Może boisz się, że ja cię zawiodę?

– Nie, tego też się nie boję. Jesteś człowiekiem, który innych nie zawodzi.

– I wierzysz, że cię Kocham.

– Wierzę w to święcie.

– No, to o co chodzi? Boisz się instytucji małżeństwa? No to wiesz, co ci proponuję? Weź pierścionek zaręczynowy, ogłosimy nasze zaręczyny i będziemy sobie czekali...

– Zrobiłbyś to dla mnie? – Pomysł bardzo przypadł jej do gustu. Czekać można bardzo długo.

– Dla ciebie, Kochanie, gotów jestem przystać na wszystko...

– Ale wszystkiego jeszcze o mnie nie wiesz. Zrobiłam kilka rzeczy, z których wcale nie jestem dumna.

– Ja też, Kochanie. A o tobie wiem wszystko, co jest mi potrzebne. A reszta jest nieważna. Każdy ma gdzieś w szafie jakąś ponurą własną tajemnicę... Mam propozycję: niech dzień dzisiejszy będzie dniem pierwszym. Od dziś twoje życie dla mnie i moje dla ciebie będzie otwartą księgą, dobrze? A przeszłość do szafy. Zły pomysł?

– Świetny. Ale może nam nie wyjść, jeśli z szafy coś wypadnie.

– Więc jak? Przyjmiesz mój nędzny pierścionek?

– Jaki tam nędzny. Dla mnie wspaniały. Ty go wybrałaś.

– Wiem, że pieniądze nie są dla ciebie ważne, Emily, i szanuję twoje przekonania, ale wierz mi, że pieniądze same w sobie nie są złą rzeczą, pod warunkiem, że właściwie się nimi dysponuje.

– Na szczęście to nie nasz problem. Za dużo nie będziemy ich mieli. No więc, czy wreszcie dasz mi ten mój pierścionek, żebym go mogła włożyć na palec?

– Twój pierścionek?! Żeby włożyć na palec? A więc akceptujesz... ?



– A co mam robić? – Rzuciła mu się na szyję. – I któregoś dnia wyjdę za ciebie  
– wyszeptała mu do ucha.

Pierwszego dnia świąt Cody musiał wrócić na ranczo. Powiedział, że czeka go masa pracy. Bardzo długo żegnali się w drzwiach. Tuleniu się nie było końca. Dopiero gdy Cody wyszedł, Emily uświadomiła sobie, że zapomniała mu wręczyć swój prezent. Była z niego bardzo dumna. Przyjaciel Laurie, jubiler, zrobił klamrę do kowbojskiego pasa. Klamrę z uskrzydloną literą J. Zdażyła jednak zawołać Cody'ego przez okno. Wrócił i zanim otrzymał prezent, został przywitany tak, jakby nie widzieli się od wielu dni. Potem długo zachwycał się klamrą i wreszcie oświadczył, że jest tak wzruszony, iż chyba nie będzie mógł prowadzić, a pomóc mu może tylko... kochanie się z Emily...

Ostatecznie wyjechał dopiero o drugiej po południu. Czułaby wyrzuty sumienia, gdyby Elena i Ben oraz dzieci czekali na niego ze świątecznym obiadem, ale wyjaśnił, że spędzają święta poza domem z rodziną Eleny.

Gdy już została sama, Emily przez dobrą godzinę chodziła oszołomiona po mieszkaniu, spoglądając na nowy pierścionek na palcu. Dopiero teraz zaczęło do niej docierać, jak od tej chwili zmieni się jej życie.

Przyszłości u boku Cody'ego przestała się bać. Natomiast pewne lęki budziła przeszłość... Wykręciła numer telefonu Terry'ego, ale odpowiedziała jej tylko automatyczna sekretarka, więc zostawiła wiadomość, że wydarzyło się coś bardzo ważnego i żeby koniecznie jeszcze tego samego dnia zadzwonił, nawet bardzo późno, ale koniecznie dziś.

Jednakże to Cody zadzwonił do niej zaraz po powrocie na ranczo. Chciał tylko powiedzieć, że ją kocha i że mu jej brakuje.

Po raz wtóry telefon zadzwonił około dziesiątej wieczorem.

Szybko chwyciła słuchawkę. To z pewnością Terry!

– Cześć, kuzyneczko – zaczął. – Gdzie się pali?

– Najpierw ty mi powiedz, dlaczego tak dyszysz, jakbyś dopiero co zszedł z ringu?

– Bo tak się czuję. Jak po dziesięciu rundach. Byłem w redakcji.

– W Boże Narodzenie? Chyba żartujesz!

– Chciałbym. Mów szybko, o co chodzi, bo kleją mi się oczy.

– Chodzi mi o ten twój walentynkowy artykuł...

– Żałuję, że w to wdepnąłem i że wciągnąłem ciebie.

– Wiem, dlaczego ja żałuję, ale ty?

– Ponieważ nowy naczelny to drań. Raz chce jedno, po chwili coś innego...

– Więc artykuł może się w ogóle nie ukazać? – spytała z radością w głosie.

– Pojęcia nie mam. Napisałem, potem na jego życzenie zmieniłem, dodawałem, odejmowałem. Wreszcie napisałem wszystko na nowo...

– Uradowałoby mnie, gdybym się dowiedziała, że i ta nowa wersja pójdzie do kosza...

– Miejże nade mną litość, Emily! Po tym wysiłku, jaki zrobiłem... ?

– No to kończę. Przykro mi, że musiałeś pracować w święta. Jestem pewna, że w nowym roku pójdzie ci lepiej...

– Może, może, kto wie...

– Dziękuję, że oddzwoniłeś. Mam odrobinę nadziei, że artykuł się nie ukaże. Do widzenia!

Odłożyła słuchawkę, a brylantowe okrychy pierścionka na palcu lewej ręki roziskrzyły się na chwilę w świetle lampy.

Emily opadła na fotel i uśmiechnęła się do siebie. Życie potrafi być bardzo piękne, pomyślała. I łaskawe.

Cody i Emily spędzili pierwszy dzień Nowego Roku w towarzystwie Laurie i Parkera w lokalnym klubie. Z chwilą powrotu Laurie z Dallas okazji kochanków do dyskretnych spotkań sam na sam poważnie zmalowały.

– Może to i lepiej, Emmy – zauważył Cody. – Takie spotkanie się od czasu do czasu uświadomi ci, że lepiej coś zrobić, by móc przebywać zawsze razem...

Emily przemilczała tę ponowną aluzję do nieokreślonego terminu ślubu.

– Pocierp trochę – zażartowała. – Cierpienie kształtuje charakter.

Już w sylwestra Cody doszedł do wniosku, że wystarczy mu chyba na całe życie dawka owych kształtujących charakter cierpień. Gdy wybiła północ i wszyscy składali sobie życzenia przy wygaszonych światłach, omal nie zmiądzzył Emily w uścisku. Obcałowywał ją z prawdziwą dziką namiętnością.

– Od trzech dni się nie kochaliśmy i jestem bliski załamania – obwieścił Emily do ucha. – Nie wiem, jak długo potrafię tak cierpieć. Czy pomyślałaś może o dacie? – Pytanie miało być żartem i nie spodziewał się konkretnej odpowiedzi.

– Piętnastego czerwca – zaproponowała.

Zapaliły się światła. Cody odsunął się na odległość ramienia i spojrzał na Emily zdumiony. Był pewien, że się przesłyszał.

Kiedy potwierdziła powtórzeniem daty i skinieniem głowy, wykrzyknął coś dziko i porwał ją w zawrotny taniec. Wszyscy obecni na parkiecie mogli pomyśleć, że oszalał.

– Poważnie mówisz? – Postanowił się mimo wszystko upewnić.

– Poważnie – odparła. – Małżeństwa nadal się boję, ale jeszcze bardziej boję się życia bez ciebie.

W pierwszym tygodniu stycznia Cody i Emily złożyli wizytę w „Żółtej Róży”, aby podziękować Wandzie. No, bo przecież to ona ich połączyła. Gdy trzymając się za ręce, wparadowali do „komnaty” dobrej wróżki, ta powitała ich radośnie.

– Ach, jakże się cieszę! Mam nadzieję, że wasza wizyta oznacza to, co myślę: chcecie mnie zaprosić na ślub?

Skinęli głowami.

– Siadajcie, moje dzieci. A więc zrozumieliście, że jesteście dla siebie stworzeni. George zawsze ma rację, kiedy takie rzeczy obwieszcza. A nieczęsto mu się to zdarza. Kiedy nastąpi ten wielki dzień?

– Piętnastego czerwca – odparła Emily.

– Ale to przecież dopiero za sześć miesięcy! – wykrzyknęła zdumiona. – Jak dwoje zakochanych może tak długo czekać?

– To nie jest aż tak długo – zauważyła Emily.

– Dla mnie to okropnie długo – wtrącił Cody. – Oczywiście potrzebny jest czas na przygotowanie wszystkiego, ale gdybym to ja miał coś do powiedzenia, wybrałbym wcześniejszy termin... – Spojrzał na Emily z nadzieją w oczach.

– A jaki termin wybrałbyś, Cody, gdybyś miał coś do powiedzenia? – zapytała z uśmiechem Wanda Roland.

– Na przykład na świętego Walentego. W dniu zakochanych. Czternastego lutego... Takiego dnia poślubia się jedyną prawdziwą miłość życia...

– O Cody! – Emily zarzuciła mu rękę na szyję. Kto potrafi oprzeć się mężczyźnie, który wypowiada takie słowa...

Gdy pożegnali rozpromienioną Wandę Roland i wyszli z agencji, Cody zatrzymał się, ujął Emily pod łokieć i powiedział, patrząc jej prosto w oczy:

– Mówiłem poważnie, Emily. Boże, mam czekać aż do czerwca, by być z tobą razem!

– Doskonale cię rozumiem. Ja też myślę to samo, tylko że...

– Chodzi ci może o to, żeby był to wielki ślub, z tłumem gości... ?

– Ależ nie! Nie mam żadnej rodziny. Jest tylko mój kuzyn Terry. Poza tym w każdej chwili firma może mnie odwołać do Dallas. Właściwie to najlepiej byłoby wszystkim umknąć, uciec i...

– Co za wspaniały pomysł! Akceptuję! – podchwycił z entuzjazmem Cody.

– Jest przecież Elena, Ben... byliby rozczarowani...

– Oni mieli swój ślub. A ten jest mój. Jedyne, jaki mnie w życiu czeka. Zróbmy

to, Emily! Zróbmy to!

– Ale...

– W święto zakochanych, dobrze? Czternastego lutego.

– Którego dnia tygodnia wypada w tym roku czternasty lutego? – spytała Emily.

Cody wyciągnął z kieszeni kalendarzyk, przekartkował go i oznajmił, że w niedzielę.

– Moglibyśmy wziąć ślub w piątek, dwa dni przedtem, i wyjechać gdzieś, zaszyć się na parę dni. Taki weekendowy miesiąc poślubny...

– A następnego lata wyjedziemy na prawdziwy pełny miesiąc miodowy.

– Mam nadzieję, panie przyszły małżonku, że całe nasze życie będzie przypominać jeden długi miodowy miesiąc – odparła z zalotnym uśmiechem.

– Co wcale nie oznacza, że przy okazji nie wyskoczmy na którąś z karaibskich wysp...

– Za drogo. – Pokręciła głową. – Porozmawiamy o tym w swoim czasie. Teraz musimy przygotować się do ślubu. Zostało mało czasu...

W środę dziesiątego lutego Mata Hari z samego rana wysłała pocztą elektroniczną list opatrzony nagłówkiem „Ścisłe tajne”.

„Drogi Terry, wreszcie mogę podzielić się z tobą wspaniałymi wieściami. Cody i ja bierzemy ślub w najbliższy piątek o drugiej po południu w gabinecie sędziego, który od lat jest przyjacielem rodziny Cody'ego. Jestem taka podniecona, że nie wiem, co się dokoła mnie dzieje. Jedynym powodem, dla którego nic ci o tym przedtem nie wspominałam, jest to, że wszystkim się wymykamy. O ślubie wie tylko Laurie, no i teraz ty. Nie spodziewam się, byś znalazł czas, żeby na ten ślub przyjechać, ale jeśli znajdziesz, to sprawisz mi wielką przyjemność... ”

## Rozdział 10

Minęło zaledwie półtorej godziny od chwili wysłania listu do Terry'ego, gdy Emily otrzymała wiadomość od kontrolera sieci poczty elektronicznej.

Zawiadamiał on, że list z nagłówkiem „Ścisłe tajne” od Maty Hari wysłany o ósmej dwadzieścia dwie rano, jest niestety niedoreczalny, gdyż adresat zmienił kod dostępu.

Emily oczywiście poinformowała Dona o zamierzonym ślubie. Don ją uściskał i zwolnił na cały czwartek i piątek, chociaż, jak powiedział, „w biurze panuje nieopisany bardak”.

– Bardzo przepraszam i bardzo dziękuję – odparła. – Wiem, że sprawiam kłopoty, ale...

– Nic już więcej nie mów. I tak miałem cię stracić. Dyrekcja w Dallas od wielu dni mnie męczy, żebym cię im zwrócił. Słuchaj, Emily, znasz tego faceta bardzo krótko, czy jesteś pewna... ?

– Jestem absolutnie pewna. Ale nie dziwię się, że jesteś zdumiony. Każdy, kto mnie dobrze zna, będzie zdziwiony...

Don tylko pokiwał głową i na tym skończyła się ich rozmowa.

W środę wieczorem Laurie pomogła Emily znaleźć odpowiednią sukienkę – kremowy szyfon, kloszowa spódnica i rękawy z bufkami. Wspaniała suknia na ślub z prawdziwym kowbojem!

Była tak podniecona i szczęśliwa, że trudno jej było zasnąć. Przed położeniem się rozmawiała jeszcze z Codym przez telefon. Ich rozmowa trwała co najmniej godzinę. Wymieniali czułości i snuli plany. Potem przez całą noc wierciła się na materacu, od czasu do czasu przysypiając na kilkanaście minut. Nie mogła doczekać się świtu.

Rano poszła do gabinetu odnowy biologicznej, gdzie miała zamówioną wizytę, i wyszła z niego promienna, nie czując najmniejszego zmęczenia po nieprzespanej nocy. Czuła się wprost wspaniale do chwili powrotu do domu, kiedy to właśnie odebrała wiadomość od kontrolera sieci. Co to znaczy, że list do Terry'ego jest niedoreczalny? Miała numer telefonu serwera i natychmiast zadzwoniła, ale usłyszała tylko automatyczną sekretarkę. Potem usiłowała odszukać Terry'ego. Dzwoniła do niego do domu, ale też odpowiedziała jej automatyczna sekretarka. Nagrała więc wiadomość: „Co się dzieje, Terry? Dlaczego poczta do ciebie jest

niedoreczalna? Gdzie jesteś? Zadzwoń do mnie. Pilne!"

W czwartek wieczorem Cody miał przyjechać do San Antonio i zabrać ją na kolację, ale w ostatniej chwili się wymówiła.

– Od jutra będziesz mnie widywał aż nazbyt często, pewno do znudzenia – powiedziała.

– Obawiam się, że bez ciebie nie przetrwam dzisiejszego wieczoru – odparł.

– To już po raz ostatni, mój drogi. Od jutra zawsze będziemy razem.

W piątek rano Cody postanowił nie jeść śniadania, ale potem poczuł się nagle głodny i postanowił wpaść do pracowniczej stołówki.

Z apetytem pałaszował przygotowaną mu przez kucharkę jajecznicę, kiedy z hukiem otworzyły się drzwi i wpadł Ben. Podbiegł do Cody'ego i rzucił mu przed nos gazetę.

– Ledwo cię tu znalazłem. Czy ty już w ogóle przestałeś pracować? Poczytaj sobie i popłacz!

– Co mam przeczytać? A w ogóle, o co ci chodzi? Byłem głodny, więc tu przyszedłem...

Ben bez słowa otworzył gazetę na właściwej stronie i palcem wskazał tytuł: **DYNASTIE RANCZERSKIE TEKSASKIEGO POGÓRZA.**

– No, to co? – spytał Cody, przeczytawszy kilka wierszy. – To jest o Connorach z rancza „Box X”.

– Tak, na początku, a dalej jest mowa o innych ranczerskich rodzinach, między innymi o Jamesach z „Latającego J”. O historii rodziny, o tym, kto teraz prowadzi gospodarstwo... Chcesz, żebym ci poczytał o tobie? – Ben wyrwał Cody'emu gazetę z ręki. – «Latającym J» administruje młodszy syn, Cody James, podczas gdy starszy syn, Ben, zajmuje się nieruchomościami. Hodowla krów buffalo stanowi jedną z najbardziej lukratywnych operacji i stawia ranczo «Latające J» na pierwszym miejscu w stanie, a kto wie, czy nie we wszystkich stanach”.

Cody podrapał się w głowę. Był wyraźnie zaskoczony i zaniepokojony.

– Powiedziałem ci, żebyś przestał ukrywać przed Emily, że jesteś lokalnym krezusem. Kiedy ona to zobaczy...

– Ona tego z pewnością nie zobaczy – przerwał bratu Cody. W głębi duszy wiedział, że szanse, by nie dowiedziała się, są bardzo nikłe. Widział u niej tę samą gazetę, a Emily powiedziała, że codziennie ją dostarczają pod drzwi mieszkania.

– Na szczęście ślub jest dopiero w połowie czerwca i zdążysz ją do tego czasu udobruchać – powiedział Ben. – Tak, do tego czasu powinna ci wybaczyć, choć

wymagać to będzie sporo wysiłku z twojej strony...

Cody zerwał się na równe nogi.

– Ja nie mam tyle czasu... Mam dokładnie cztery godziny i czterdzieści siedem minut, żeby ją przekonać – wyrzucił z siebie. – Okropne! Wprost okropne! Wpadłem!

– Co ty znowu wygadujesz? – zapytał Ben.

– To, mój drogi, że nasz ślub ma się odbyć dziś... Miała to być tajemnica przed wszystkimi. Lece, a ty módl się za mnie, Ben!

Cody pobiegł w te pędy do telefonu w swym tymczasowym domku z bali i drżącymi palcami wykrecił numer Emily. Przez cały czas powtarzał sobie niby pacierz, że Emily zrozumie, że musi zrozumieć. Nie może się od niego odwrócić, bo on ją kocha, kocha, kocha i nie wyobraża sobie bez niej życia...

Laurie i Emily pożegnały się w piątek o dziewiętej trzydzieści rano. Laurie miała załatwić ostatnie sprawunki, między innymi kwiaty. Emily natomiast udawała się do fryzjera. Wyszła od fryzjera o wpół do dwunastej i wracała do domu lekka, szczęśliwa. Wydawało się jej, że stąpa w chmurach.

Wszedłszy do mieszkania, poszybowała prosto do sypialni, gdzie przebrała się w „ślubną” sukienkę. Stała przed lustrem i przyjrzawszy się swojej rozpromienionej twarzy, poczuła, że jest naprawdę szczęśliwa. Żadna, nawet najmniejsza chmurka nie przesłaniała cudownego horyzontu.

Usłyszała otwieranie drzwi, a potem dobiegł ją głos Laurie:

– Jesteś, Emily?

Ale nie było to żadne radosne wołanie. W tych paru słowach Emily wyczuła coś, co nie pasowało do pięknego dnia. Pewno jestem przeczulona, pomyślała i z uśmiechem na twarzy obróciła się w kierunku drzwi. Zobaczyła, że Laurie ma twarz rozedrganą, bliską płaczu. W podniesionej ręce trzymała nad głową jakieś pismo w kolorowej okładce, drugą podtrzymywała pod pachą pudło z kwiatami.

– O, Emily, Emily! Jak on mógł?! – wykrzyknęła.

– O co ci chodzi? Co to jest?

Laurie podała jej magazyn z barwnym tytułem: **CZEŚĆ, CHŁOPAKI!** Pismo, w którym pracował Terry.

Emily przeszył mróz. Bez słowa zaczęła pośpiesznie kartkować pismo.

– Strona pięćdziesiąta druga – odpowiedziała jej Laurie i opadła ciężko na łóżko, powtarzając: – Jak on mógł, jak on mógł to zrobić... ?

Emily otworzyła na rozkładówce z artykułem na temat święta zakochanych. Z

przerażeniem odczytywała podtytuły szpalt: „Jak głupi potrafi być Kupidyn? Trzy teksaskie piękności postanowiły poszukać odpowiedzi w agencjach matrymonialnych... Miłosne przygody Avis Addison, Carmen Rivery i Emily Kirkwood... ”

– O mój Boże, o mój Boże... ! – Magazyn wypadł jej z ręki. – Dalej nie mogę... Już sam tytuł mnie kompromituje. Ale ty czytałaś. Co tam jest, Laurie? Okropne?

– Okropne – zgodziła się Laurie. – Przedstawił ciebie jako jakąś tam Matę Hari. Wyszłaś na szpiega. Wanda Roland w jego opisie to stara wariatka, a Cody...

– Na miłość boską, chyba nie wymienił Cody'ego?

– Z imienia nie, ale jak Cody to przeczyta, to pozna, że o nim mowa. Wierzyć mi się nie chce, że Terry mógł ci coś podobnego zrobić! – Laurie rozplakała się, jakby chodziło o nią samą.

Emily podbiegła do telefonu.

– Muszę powiedzieć o tym Cody'emu, zanim ktoś mu to pokaże. Muszę mu wszystko wyjaśnić. Może zrozumie... – Zerknęła na zegarek. – Boże, już dwunasta. Czy on jeszcze jest na ranczo? – Porwała słuchawkę i dopiero wtedy zauważyła migające światełko wskazujące, że automatyczna sekretarka zarejestrowała jakąś wiadomość. Jak oparzona odłożyła słuchawkę. – Cody już wie – wyszeptała. – Wchodząc, nie zauważyłam migającej lampki...

– Może to Parker dzwonił do mnie – podsunęła Laurie.

– Oby tak było. – Emily włączyła odtwarzanie nagrywanych wiadomości.

– To ja, Cody... – Głos jego brzmiał niezwykle poważnie. – Co prawda obiecaliśmy sobie, że nie będziemy mieli do siebie żadnych żalów i pretensji co do rzeczy, które wydarzyły się przed naszym poznaniem, ale bywa, niestety, że do przeszłości trzeba wrócić i nie można przejść nad tym, ot po prostu, do porządku dziennego. Muszę z tobą porozmawiać przed ślubem. .. – Na linii musiały być jakieś zakłócenia, gdyż kilka słów zgubiło się w szumach. – .. . barze o pierwszej... – I znowu szumy.

Emily nieprzytomnymi oczami patrzyła na Laurie.

– On już wie – wyszeptała.

Laurie wstała, podeszła i objęła przyjaciółkę ramieniem.

– Na to wygląda – przyznała. – Ale spójrz na problem z pozytywnej strony: on chce z tobą rozmawiać. Nie mówi, że odwołuje ślub.

– Ale powie. On od pierwszego dnia był ze mną szczery, a ja mu przez cały czas kłamałam.

– Gdzie on chce się z tobą spotkać?



– Nie dosłyszałam. Przegrajmy wiadomość jeszcze raz.

Tym razem poprzez szumy usłyszała słowo „Menger”.

A więc w barze u Mengera!

– No to leć! – poradziła Laurie.

– Nie mam innego wyjścia. Spróbuję mu wytłumaczyć. Może zrozumie. – Emily pobiegła do przedpokoju i włożyła lekki wełniany płaszcz.

– Chciałabyś, żebym z tobą poszła? – spytała Laurie.

– Chciałabym, ale nie chodź. Ja się w to wpakowałam i ja muszę sama z tego wybrnąć. – Będąc już w progu, zawróciła i pobiegła do sypialni po pismo. Musi przeczytać dokładnie artykuł, żeby wiedzieć, ile narobił szkody.

– Powodzenia! – zawołała za nią Laurie. – Będę w gabinecie sędziego przed drugą...

Emily nic nie odpowiedziała, modląc się w duchu, by było po co pojawiać się u sędziego.

Do baru Mengera wpadła za pięć pierwsza. Cody'ego jeszcze nie było. Usiadła tak, by móc obserwować oba wejścia do baru. U kelnera zamówiła wodę mineralną.

Otworzyła pismo na pięćdziesiątej drugiej stronie i usiłowała czytać artykuł Terry'ego, ale litery skakały jej przed oczami. Nie potrafiła skupić się na tekście. Terry zrobił jej okropne świństwo. A przecież obiecał, że będą tylko kryptonimy! Dopiero teraz zauważyła, że jako autor jest wymieniony niejaki Kevin Percy. Nazwisko Terry'ego pojawiło się wyłącznie wśród nazwisk pracowników redakcji, którzy współpracowali z autorem.

Zamknęła pismo i siedziała zamyślona z głową podpartą na złożonych dłoniach. Po kilku minutach spojrzała na zegarek. Była już pierwsza trzynaście. A przecież Cody nigdy się nie spóźniał!

On się wcale nie spóźnia, idiotko, pomyślała. On po prostu nie ma zamiaru przyjść! Zdecydował, że nie ma sensu wysłuchiwać tłumaczeń. Postanowiła, że jeśli w ciągu najbliższych kilku minut Cody nie przyjdzie, to ona wstanie, wyjdzie, wsiądzie do samochodu i pojedzie prosto do Dallas, usiłując zapomnieć, że w ogóle była kiedykolwiek w San Antonio i że pokochała kowboja imieniem Cody.

O pierwszej trzydziści musiała stawić czoło smutnej prawdzie: już nigdy nie zobaczy Cody'ego. Dzień, który miał być najpiękniejszy w jej życiu, stał się dniem ostatecznej klęski. Po raz drugi została porzucona przez mężczyznę. Ale jednocześnie rozumiała, że miała rację, twierdząc, iż małżeństwo to rzecz nie dla

niej. Próbowwała dwa razy. I dwa razy nie wyszło. Trzeci raz nie zaryzykuje...

O pierwszej trzydziści sześć wstała i poszła do samochodu. Gdy jechała przez mało znane ulice, po policzkach ściekały jej łzy. W pewnej chwili zupełnie się zagubiła, nie mogąc trafić na żadną wskazówkę dotyczącą wyjazdu na autostradę. Stała i zaczęła się rozglądać. Wzrok jej padł na nazwę ulicy: Bluebonnet Drive. I wtedy uświadomiła sobie, że bardzo blisko jest jeszcze ktoś odpowiedzialny za sytuację, w jakiej się znalazła. I temu komuś trzeba parę słów powiedzieć. Ma teraz doskonałą okazję...

Przez ostatnie piętnaście kilometrów Cody jechał na złamanie karku i klął tak głośno, że całkowicie zagłuszał samochodowe radio. Ben od dawna mówił mu, że furgonetka wymaga nowych opon. Odkładał ich wymianę i teraz złapał gumę. W konsekwencji mógł utracić jedyną kobietę, którą naprawdę kochał.

Zaparkował w miejscu zakazanym przed barem Mengera, wyskoczył z wozu i pobiegł do środka. Rozejrzał się kilka razy. Emily nie było. Zegar nad barem wskazywał pierwszą trzydziści siedem. Dlaczego nie poczekała? Podszedł do lady i spytał barmana:

– Czy była tu niedawno samotna kobieta? Piękna blondynka, brązowe oczy. Mniej więcej tej wysokości... – Dostawił do podbródka dłoń na płasko.

– A była, była! Ale niedawno wyszła. I wyglądała tak, jakby...

– Jakby co?

– Jakby nie była zanadto zadowolona. Zła albo smutna... Nie wiem. I kiedy siedziała i piła tę swoją wodę mineralną, to coś czytała...

– Gazetę?

– Możliwe. Zbyt dobrze nie widziałem. Ale chyba nie była zadowolona z tego, co czyta... No i stale patrzyła na zegarek, jakby na kogoś czekała... – Barman stał się elokwentny, widząc na ladzie położone przez Cody'ego dwa dolary. – Pewno na pana czekała, co? Właściwie to dopiero co wyszła. Może minutę, dwie temu... Szkoda...

Szkoda... psiakrew! Nie szkoda, ale ogromna tragedia, myślał Cody, wracając do furgonetki. Szkoda wielu innych rzeczy. Szkoda, że wcześniej poznał Jessikę. Szkoda, że nie poznał Emily przedtem, nim jakiś dureń złamał jej serce. Szkoda, że od samego początku nie był uczciwy z Emily...

– Psiakrew! – zaklął głośno, widząc mandat zatknięty za wycieraczką przedniej szyby. Parkuje tu zaledwie od paru minut, a już ktoś wpakował mu mandat! Czasami życie bywa okrutne i nic nie popuszcza...

Wsiadł do wozu i zaczął rozpatrywać sytuację. Może zacząć jej szukać, a kiedy znajdzie, skłonić, by go wysłuchała. Może wrócić na ranczo, gdzie zacznie lizać rany i spróbuje zapomnieć o swoim marzeniu znalezienia kochającej żony.

Odjechał spod hotelu nadal niezdecydowany, co robić.

Emily trzepnęła obiema dłońmi w biurko sekretarki.

– Muszę natychmiast widzieć się z Wandą Roland. To sprawa życia i śmierci...

!

Teresa aż podskoczyła.

– Co się stało, na miłość boską, pani wygląda jak... ?

– Stało się wszystko, co najgorsze. I jest to wina George'a. Zaraz wyjeżdżam z miasta. Na zawsze. Ale nim wyjadę, mam kilka słów do powiedzenia Wandzie Roland. Teraz, od razu!

– Dobrze, już dobrze. Powiem jej, że pani tu jest... – Teresa podniosła słuchawkę i wystukała wewnętrzny numer. Po chwili mruzczała do mikrofonu: – Przepraszam, Wando... Tak, właśnie... Jest tu Emily Kirkwood... Nie, jest sama... Aha, aa, dobrze... – Odłożyła słuchawkę i powiedziała do Emily: – Ona mówi, żeby pani...

Emily nie czekała, aż usłyszy, co powiedziała Wanda, ale rzuciła się ku drzwiom jej gabinetu, otworzyła je i wpadła jak huragan.

Wanda siedziała za biurkiem z niebiańskim uśmiechem na twarzy, ale uśmiech ten szybko zniknął, gdy zobaczyła roztrzęsioną Emily.

– Boże, co się stało? – spytała.

– Stało się wszystko, co tylko może być najgorsze! Czy pani wie, jaki miał być dziś dla mnie ten dzień?

– Urodziny?

– Nie, dzień mojego ślubu!

– To wspaniale! Poszliście za moją radą i przyspieszyliście termin! Jestem wzruszona.

– Niepotrzebnie. Ślubu nie będzie. Nic nie będzie... – Emily zaczęła chlipać.

Wanda Roland wyszła zza biurka i zaczęła głaskać Emily po ramieniu.

– Nie dramatyzuj, dziecko. Usiądź i wszystko mi opowiedz. Jestem pewna, że we dwie rozwiążemy problem...

– Nie rozwiążemy. Nie ma na to najmniejszej szansy – wyjęczała Emily przez łzy. – Zrobiłam straszną rzecz. Intencje miałam dobre, ale to, co zrobiłam, wyszło okropnie. I nie powiedziałam o tym Cody'emu, a teraz on się o tym dowiedział, no

i jest za późno...

– Droga Emily, po pierwsze, nie wyobrażam sobie, abyś ty mogła zrobić okropną rzecz. Nie należysz do osób...

– Najwidoczniej należę. I pani pewno jeszcze tego nie czytała i nie wie, co zrobiłam, bo nie byłaby pani dla mnie taka miła...

– Czego nie czytałam? – spytała Wanda, po raz pierwszy poważnie zaniepokojona.

– Tego! – Emily podała jej pismo rozłożone na stronach z walentynkowym artykułem.

Wanda wróciła za biurko i zaczęła czytać. Emily otarła łzy i przechadzała się tam i z powrotem po puszystym dywanie. Przez kilka minut w gabinecie panowała absolutna cisza. Potem przerwał ją głośny śmiech Wandy Roland.

– Kapitalne, wspaniałe, tylko jedno...

Emily stanęła jak wryta.

– Nie gniewa się pani?

– Ależ skąd! To świetna reklama. I doskonale jest to napisane. Tylko jedno...

– Ale przecież nazwana jest pani starą wariatką?

– No to co? Mam już siedemdziesiąt sześć lat, więc jestem stara. A wariatka? Owszem, na punkcie uszczęśliwiania ludzi. Co w tym złego? Tylko jedno mnie rozgniewało. Czy ty naprawdę uważasz, że w George'u nie ma żadnej elektroniki tylko ptasie gniazdo?

– Wolałabym na to nie odpowiadać...

Przez drzwi dobiegły głośno wykrzykiwane słowa:

– A ja wejść, Tereso! I nie powstrzyma mnie ani pani, ani nawet cały oddział policji stanowej!

Wanda przeniosła przerażone spojrzenie na drzwi, które rozwarły się z hukiem i do gabinetu wpadł Cody.

Cody pojęcia nie miał, jak tu trafił. Wiedział tylko, że przed budynkiem, obok którego przejeżdżał, zobaczył samochód podobny do tego, jaki miała Emily. Zatrzymał furgonetkę i dopiero wtedy zorientował się, że jest przed „Żółtą Różą”.

Natychmiast zobaczył sylwetkę Emily na tle przesłoniętego firanką okna.

– Co ty tu robisz?! – wykrzyknął. Poczul się jak dźgnięty nożem: Emily z pewnością rozmawia z Wandą na temat innego kandydata...

– Co ty tu robisz? – padło prawie jednocześnie z ust Emily.

– Nie czekałaś na mnie! – rzucił oskarżycielskim tonem.

– Aż za długo czekałam. Umówiłeś się na pierwszą...

– Po drodze złapałem gumę... Co mogłem poradzić? Pędziłem potem na złamanie karku. Przecież to było dla mnie niesłychanie ważne spotkanie...

– Przykro mi, że nie dałam ci szansy powiedzenia mi, co o mnie naprawdę myślisz – odparła zimno i obróciła się do niego plecami. Przedziwne, że nie czuła już żadnej złości, tylko jakąś wielką ulgę, że Cody ją odnalazł.

– Emily, kocham cię... Pozwól, że się wytłumaczę...

Przez chwilę stała bez ruchu, a potem wolniutko się obróciła.

W jej oczach widział zdziwienie i coś jeszcze, co zachęcało, by do niej podbiec i wziąć ją w ramiona.

– Ty masz się wytłumaczyć? – spytała.

– Miałem zamiar wszystko powiedzieć. Przysięgam, że miałem taki zamiar... Ale tak cię pokochałem i tak było nam dobrze, że bałem się ryzykować...

– Właśnie chciałam ci to samo powiedzieć, Cody... Ale nie miałam pojęcia, że artykuł będzie taki okropny... Gdybym to wiedziała...

– Poczekaj, poczekaj chwilę... – Nastroszył się. – Wiedziałaś o artykule przed jego opublikowaniem? W jaki sposób?

– Oczywiście, że wiedziałam. Byłam przecież szpiegiem. Muszę tak to nazwać. Jest mi okropnie przykro i jeśli mi wybaczysz, to obiecuję, że...

– Ja mam tobie coś wybaczać? To ja ciebie proszę o wybaczenie. Wiem, jaką masz opinię o bogatych mężczyznach, ale w tym wypadku majątek jest w ziemi i w inwentarzu, a w banku...

– W ziemi i w inwentarzu... ? O czym ty mówisz... ? Chcesz może powiedzieć, że nie jesteś zwykłym kowbojem, tylko jakimś krezusem?

– Ja i mój brat jesteśmy współwłaścicielami „Latającego J”... Co ty przed chwilą opowiadałaś o jakimś szpiegowaniu... ? – Dopiero teraz dotarły do niego jej słowa.

– Szpiegowałam dla mojego kuzyna, Terry'ego, który pracuje w takim jednym piśmie... Przyszłam do „Żółtej Róży”, bo on mnie do tego zmusił... Miałam wobec niego dług wdzięczności. Do artykułu potrzebował historii kilku klientek biur matrymonialnych... Nie miałam pojęcia, że artykuł będzie taki paskudny... Myślałam, że go przeczytałeś i dlatego postanowiłeś nie przyjść do Mengera... Ale teraz... Najgorsze, że muszę ci wybaczyć twoje bogactwo...

Niemal jednocześnie rzucili się sobie w ramiona.

– Nic mnie nie obchodzi żadne piśmidło. Nic i nikt mnie nie obchodzi oprócz ciebie, Emily. – Zatopił twarz w jej włosach.

– Dzieci, dzieci, patrzcie! – wykrzyknęła podniecona Wanda Roland. – Podejdźcie szybko i patrzcie na ekran. George się obudził. O tej porze zdarza mu się to bardzo rzadko.

– Nic mnie nie obchodzi żaden George! – powiedziała Emily. – Mam Cody'ego.

– A ja wam mówię, żebyście podeszli. To dla was bardzo ważne.

Podeszli.

Na białym ekranie zaczęły pojawiać się duże litery i układać w słowa:

EMILY KOCHA CODY'EGO. CODY KOCHA EMILY. ZGODNIE Z PROGNOZĄ. SPRAWA ZAŁATWIONA.

– Tak, sprawa całkowicie załatwiona i jasna – powiedział Cody. – Jeśli ty przeżyjesz fakt, że mam kilka dolarów więcej, niż myślałaś, to ja przeżyję to, że miałem być twoim królikiem doświadczalnym... Ale przy okazji powiedz mi, czy bardzo głupio wypadłem w tym artykule?

– Z pewnością nie zanadto – wtrąciła Wanda. – Która godzina, moje dzieci?

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi – odparł Cody, bez skrępowania tuląc Emily.

– Ośmielam się być innego zdania – powiedziała Wanda. – Jest dwadzieścia po drugiej. Gdybyście się bardzo pośpieszyli, to może jeszcze udałoby wam się wziąć udział w pewnej ceremonii ślubnej u sędziego Cooleya...

Cody i Emily odskoczyli od siebie, patrząc ze zdumieniem na Wandę, która wyglądała tak niewinnie, jakby była kandydatką do aureoli świętej.

– Skąd pani wie o ślubie u sędziego Cooleya?

– Emily chyba wymieniła to nazwisko...

– Na pewno nie! – zaprzeczyła gorąco Emily.

– No to... może odgadłam? Co za różnica. Spieszcie się, dzieci! Nigdy nie wiadomo, kiedy sędziemu znudzi się czekanie...

– Pójdzie pani z nami? – spytała Emily.

– Chciałabym bardzo, ale mam na głowie całą gromadkę kandydatów i kandydatek, których mam skojarzyć w zakochane pary... Odwiedźcie mnie po miodowym miesiącu, to wypijemy toast za wasze małżeństwo.

– Na pewno przyjdziemy – obiecał Cody.

Głęboko wzruszony podszedł do starej kobiety i ucałował ją w oba policzki. Jej przecież zawdzięczał swoje szczęście.

Wanda wyjęła z wysokiego flakonika tkwiącą w nim pojedynczą żółtą różę i podała mu.

– Weź ją na szczęście. Nie krepuj się. Teresa przyniesie mi tyle róż, ile będę chciała...

– Lecimy! – powiedział Cody.

Emily szybko ucałowała Wandę i pobiegła za ukochanym.

O godzinie czwartej minut siedem po południu Emily Kirkwood została żoną Cody'ego Jamesa. Ślubu udzielił im sędzia Milton Cooley w swoim gabinecie. Świadcami byli Laurie i pani Cooley. Emily promieniała. Jedną dłonią trzymała się kurczowo męża, drugą zaciskała na łodydze żółtej róży, którą Cody otrzymał od Wandy i ofiarował teraz żonie.

– Cody, możesz pocałować żonę – powiedział na zakończenie ceremonii sędzia Cooley. – Emily, możesz pocałować męża...

Emily promieniała szczęściem. Uśmiech Cody'ego ją obezwładniał.

– No i zostałam moją żoną – szepnęła, składając pocałunek na jej ustach. – Chyba Wanda miała rację. My naprawdę jesteśmy stworzeni dla siebie.

– Byle ci się nie znudziła nasza małżeńska codzienność – odparła przekornie.

– Mowy nie ma! – Potwierdził te słowa bardzo przekonującym pocałunkiem przyjętym oklaskami przez wyrozumiałego sędziego i świadków.

W dwa dni później, czternastego lutego po południu Mata Hari wysłała jeszcze jeden i ostatni list do Skryby. Miał wywoławczy tytuł „Wybaczam wszystko”. Była to odpowiedź na pełen przeprosin telefon od Terry'ego:

„Chytre to z twojej strony, Terry, prosić mnie o litość w chwili gdy przeżywam cudowne dni miodowego miesiąca z najwspanialszym mężczyzną na świecie. W takich okolicznościach przebaczyłabym nawet najgorszemu wrogowi. Jestem bardzo zadowolona, że znalazłeś nową i lepszą pracę, zanim jeszcze wywalono cię z tego brukowca. Uprzedzam cię jednak, żebyś nie próbował mnie w nic wciągać, jeśli idzie o reklamę mydła firmy, w której teraz działasz. Choćby było to najlepsze mydło na świecie. Pa, muszę kończyć, bo mój ukochany mnie woła. Wiedział, że do ciebie piszę i prosił o przekazanie kilku słów, ale nie wypada ich powtarzać. Mam nadzieję, że w dniu święta zakochanych i tobie trafił się choćby okruszek szczęścia. To wszystko, całuję. Emily James, mężatka. (Mata Hari przestaje niniejszym istnieć)”. .